Dziś w numerze: • Gdzie gospodyń sześć... • Na pohybel lasom • Hajda na Turków! • Musical a operetka • Peregrynacje Straussów do Polski • Wiersze • Recenzje • Felietony

Wpisano do kontroli periodyków
2 Rejonowej Biblioteki Publicznej
Łódź Widzew
Dn. ..... 19...

odgłosy

4 (534)
28. I. 1968 r.
10 stron
Cena 1 zł

TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY ROK XI

TADEUSZ ŻAKOWIECKI

Drapacz chmur?

Wykop na fundament rozpoczęto jesienią 1966 r. Równy rok temu, w styczniu 1967, dzięki sprzyjającym warunkom atmosferycznym, przystąpiono do rozlewania żelbetowej płyty fundamentowej. Już w lutym rozpoczęto szalowanie ścian konstrukcyjnych piwnic. W marcu betonowano ściany piwniczne. W kwietniu szalowano żelbetowe słupy parteru. W maju stanęło pierwsze piętro, w czerwcu — drugie i trzecie, w listopadzie — piętnaste. Dzień 30 listopada stał się dniem zakończenia budynku w stanie surowym.

Praca szła na trzy zmiany. Pracowało tylko trzydziestu ludzi — dwie brygady, czterech montażystów i operator żurawia samowysuwanego, zastosowanego na tej budowie po raz pierwszy.

W grudniu na budowę weszli murarze, tynkarze oraz pracownicy Łódzkiego Przedsiębiorstwa Instalacji Sanitarnych i Elektrycznych.

Najpierw trzeba było założyć centralne ogrzewanie. Na ciepło czekali wszyscy. Przede wszystkim murarze i tynkarze, których praca musi być wykonywana w temperaturze powyżej zera.

W połowie grudnia budynek był ogrzewany do piątego piętra. Całość dostała ogrzewanie w pierwszych dniach stycznia. Znowu robota zagrała pełnym akordem. Murarze zaczęli wbudowywać ścianki działowe, monterzy i elektrycy układali zaraz za nimi przewody wodociągowo-kanalizacyjne i elektryczne, tynkarze pokrywali to wszystko tynkiem.

Po tynkarzach z robotą ruszą stolarze, malarze, posadzkarze. Jedna brygada będzie gonić drugą. Od ostatniego piętra — w stronę parteru. Tak jest praktyczniej. Zanim murarze, monterzy i tynkarze dojdą do dołu — drzwi piętnastego piętra już będzie można zamykać za malarzami i posadzkarzami.

A kiedy i na zewnątrz budynku zrobi się ciepło — jego mury gęsto oplecie stalowa konstrukcja i zacznie się praca kosmetyczna.

Już w tej chwili elewacja wygląda tak, że trzeba dobrze patrzeć, aby zobaczyć na niej dyktę i chropawość surowych prefabrykatów. A co będzie jak przyjdą owe mało zwykłemu człowiekowi znane „pasy wieńcowe wykładane blachą aluminiową", „szkło zbrojone w ramce aluminiowej", „płyty osłonowe z lastrika płukanego"...

2.

Gęsty śnieżek, który prószył zapamiętale od samego rana, dodawał wysokości temu budynkowi, nazwanemu szumnie „wieżowcem", a wznoszącemu się przecież tylko na sześćdziesiąt parę metrów ponad poziom ulicy. Śnieżek skutecznie zagęszczał atmosferę i dawało to wrażenie, że żuraw samowysuwany, wystający nad gmachem budynku, ginie gdzieś wysoko w chmurach.

Mężczyzna po pięćdziesiątce, który skręcał z Roosevelta w Sienkiewicza — przystanął, spojrzał do góry, cmoknął i powiedział:

— Zwykłemu robociarzowi, to tam na górze chyba by nie dali mieszkania...

— Przecież to biurowiec, skąd mogą komuś dawać w nim

Dalszy ciąg na str. 3

JANUSZ DEGLER

Witkacy w Łodzi

Od kilku lat jesteśmy świadkami wciąż rosnącego zainteresowania twórczością Stanisława Ignacego Witkiewicza. Niemal zupełnie niedoceniony za życia, dziś uznawany jest za prekursora najbardziej nowoczesnych form dramatycznych i teatralnych: dramatu groteski, teatru absurdu i okrucieństwa; twórcę, który nie tylko wyprzedził Sartre'a, Becketta, Ionesco i Mrożka, ale który przede wszystkim niemal proroczo przewidział kierunek głównych przemian polityczno-społecznych naszych czasów. Kiedyś go ośmieszano i wykpiwano — obecnie widzimy w nim najwybitniejszego pisarza okresu międzywojennego. Na naszych oczach staje się klasykiem i nikogo już chyba nie zaszokuje stwierdzenie K. Dejmka, że utwory Witkacego to, obok „Dziadów" Mickiewicza i dramatów Wyspiańskiego, „jedyne polskie rozwiązania dla naszej sztuki scenicznej".

Witkacego odkrywa także świat. Przekłady utworów scenicznych ukazały się w Jugosławii, NRF i Stanach Zjednoczonych, ostatnio zaś wyszło świetne niemieckie tłumaczenie powieści „Nienasycenie". Inscenizacje sztuk przygotowały teatry w Baden-Baden, Saarbruecken i Wiedniu, zapowiadane są premiery w Czechosłowacji, San Francisco oraz w Paryżu.

* * *

Miarą zainteresowania Witkiewiczem w kraju może być trwający od trzech sezonów „festiwal" jego sztuk na naszych scenach. Nie ma już dziś poważniejszego teatru, w którego repertuarze nie pojawiłaby się dotąd sztuka Witkacego — nawet teatry prowincjonalne zdołały przygotować prapremiery. W tym roku także publiczność łódzka mogła wreszcie, po raz pierwszy po wojnie, zobaczyć utwór Witkiewicza na scenie („Sonata Belzebuba"). W 20-leciu międzywojennym taka okazja zdarzyła się dwukrotnie. Pierwszy raz w r. 1925, gdy w Łodzi gościł warszawski Teatr im. Fredry, dając 13 i 14 kwietnia dwa przedstawienia sztuki „Jan Maciej Wścieklica". Wbrew przewidywaniom premiera tego utworu w Warszawie stała się wielkim sukcesem. Dotychczas sztuki Witkacego schodziły z afisza po 2—3 przedstawieniach — „Wścieklicę" Teatr im. Fredry grał niemal bez przerwy cały miesiąc, a potem, uzyskawszy subwencję rządową, wyruszył w tournée po Polsce, występując w 20 miejscowościach. W Łodzi trupę warszawską przyjęto niezwykle serdecznie — w prasie już na kilkanaście dni przed występem pojawiło się wiele notatek, anonsujących spektakl jako „nie lada ucztę artystyczną" i wydarzenie niemal sensacyjne oraz zapowiadających, że na obu spektaklach obecny będzie autor sztuki. Niektóre pisma przedrukowały ponadto fragmenty popremierowych recenzji, w mieście zaś rozklejono mnóstwo afiszów, na których również znalazły się co pochlebniejsze zdania z recenzji Boya, Kiślelewskiego, Wołoszynowskiego i Lorentowicza. Przez kilka dni Łódź żyła tym występem. I choć spektakle rozpoczynały się tuż przed północą i były to akurat święta Wielkanocne, publiczność po brzegi wypełniła salę Teatru Miejskiego. Sztukę przyjęto entuzjastycznie, a zespołowi zgotowano owację. Także krytycy (W. Fallek, B. Dudziński) nie ukrywali swego zachwytu. Zapewne do tego sukcesu przyczynił się również i ten fakt, że reżyser, a zarazem odtwórca tytułowej roli — Jan Pawłowski, zanim objął dyrekcję Teatru im. Fredry, występował przez dłuższy czas w teatrze łódzkim (tutaj właśnie obchodził jubileusz 25-lecia pracy scenicznej) i, jak pisała prasa, „tak mile zapisał się w pamięci łodzian (a zwłaszcza łodzianek)".

* * *

W dwa lata później Teatr Miejski, którego dyrekcję sprawowali A. Szyfman i B. Gorczyński (teatr bowiem związany był umową o wspólnej dyrekcji z Teatrem Polskim w Warszawie) wystąpił z prapremierą sztuki Witkiewicza pt. „Persy Zwierżontkowskaja". Dla dzisiejszego badacza twórczości Witkacego inscenizacja ta posiada niesłychanie ważne znaczenie. „Persy Zwierżontkowskaja" jest bowiem jedną z dwunastu zaginionych sztuk tego autora i nie można już chyba mieć nadziei na jej odnalezienie (wiadomo, że z powstania warszawskiego ocalała skrzynia rękopisów zawierająca rozprawy filozoficzne, szkice, polemiki, przeszło trzydzieści dramatów i prozę powieściową — wszystko to rozgrabiono dopiero po wojnie; być może wśród tych rękopisów znajdował się także wystawiony przez Teatr Miejski w Łodzi dramat). „Persy Zwierżontkowskaja" nie była grana na innych scenach polskich. Wypowiedzi łódzkich krytyków teatralnych stanowią więc dzisiaj jedyne źródło wtórnej, z konieczności ogólnej i fragmentarycznej re

Dalszy ciąg na str. 6

ze ŚWIATA

W sierpniu ub. roku Związek Radziecki i Stany Zjednoczone przedstawiły na konferencji genewskiej jednobrzmiące projekty układu o zakazie rozpowszechniania broni jądrowej. Teksty te nie zawierały jednak bardzo wówczas kontrowersyjnego artykułu 3, dotyczącego kontroli. W ubiegłym tygodniu uczyniono dalszy krok naprzód — przedstawiono już tekst całkowity, a więc uwzględniający również zagadnienie kontroli. Najważniejsze postanowienia wspomnianego artykułu 8 dają się streścić następująco: żadne państwo nie przekaże materiału rozszczepialnego innemu, jeśli materiał ten nie będzie podlegał kontroli, kontrola będzie prowadzona w ten sposób, aby nie utrudniała pokojowego wykorzystania energii atomowej, państwa nie dysponujące bronią jądrową zawrą w okresie nie dłuższym niż 180 dni od wejścia układu w życie porozumienie z Międzynarodową Agencją Energii Atomowej w celu realizacji wymogów układu.

Inaczej mówiąc zobowiązuje się kraje, które przystąpią do układu do nieprzekazywania i nieprzyjmowania żadnych materiałów rozszczepialnych, jeśli nie będzie to związane z systemem kontroli.

Uzgodnienie tekstu omawianego artykułu jest kolejnym, ważnym krokiem na drodze do nieproliferacji. Komentatorzy podkreślają wprawdzie, że w dalszym ciągu niektóre kwestie pozostają otwarte, co może jeszcze wywoływać dyskusje ze strony krajów trzecich, zgadzają się jednak, iż osiągnięcie kompromisu w tej dziedzinie otwiera możliwość szybkiego zawarcia układu.

Czy zatem po pięciu latach, jakie minęły od moskiewskiego porozumienia o częściowym zakazie doświadczeń z bronią jądrową — w br. dojdzie do nowego niezwykle ważnego układu międzynarodowego? Wszystko wydaje się wskazywać, że tak, że wiosenna sesja ONZ podejmie dyskusję nad całkowitym już i poprawionym projektem układu. Dla świata, nad którym nieustannie wisi niebezpieczeństwo nuklearnej zagłady, miałoby to istotne znaczenie.

Do tematu z pewnością powrócimy jeszcze niejednokrotnie, poświęćmy więc teraz nieco uwagi innym wydarzeniom ostatnich dni.

Dorocznym zwyczajem — w styczniu, przed otwarciem obrad Kongresu — prezydent Stanów Zjednoczonych wygłasza orędzie „O stanie państwa". Tegorocznego, z uwagi na to, że jest to ostatnie w obecnej kadencji, a ponadto jak gdyby otwierające kampanię wyborczą, oczekiwano ze szczególnym zainteresowaniem. Johnson znaczną jego część poświęcił zagadnieniom wewnętrznym, z pozostałych uprzywilejowując właściwie tylko Wietnam (wszystkie inne problemy międzynarodowe zajęły... aż 31 wierszy w ponad 11-stronicowym przemówieniu). I w pierwszej i drugiej części rozczarował jednak tych, którzy łudzili się, że w roku wyborów nastąpią w amerykańskiej polityce jakieś korzystne zmiany. Wyższe podatki, zwolnienie tempa realizacji programów społecznych i kontynuowanie wojny w Wietnamie — oto sens zapowiedzi Johnsona na bieżący rok. Orędzie przy tym nie pozbawione jest wręcz humorystycznych stwierdzeń — no bo jakże inaczej przyjąć słowa, że w Wietnamie „nieprzyjaciel przegrywał bitwę za bitwą" lub że „widocznym postępem" była południowowietnamska farsa wyborcza?

Niepoważnie trzeba się także odnieść do tego fragmentu przemówienia, w którym prezydent określił warunki, w jakich można by mówić o przerwaniu bombardowań DRW. Jego zdaniem może to nastąpić tylko wówczas, „jeśli doszłoby wkrótce do rozmów i jeśli można by mieć rozsądną nadzieję, że rozmowy te będą owocne". Warunek — zwłaszcza ten drugi — dziwi nawet najbardziej przychylnie nastawionych Johnsonowi komentatorów. W jakich to bowiem międzynarodowych rozmowach można mieć z góry pewność, że zakończą się one pomyślnie?

W sumie więc zrozumiano wypowiedź prezydenta USA jako kolejne „nie" na propozycje rozwiązań politycznych. Tak ocenia np. „New York Times" („Prezydent, praktycznie biorąc, przekreślił wszelkie nadzieje na pozytywną odpowiedź na ostatnią ofertę pokojową Hanoi"), „Le Monde" („Prezydent nie rozwiązuje problemu. Komplikuje go nawet...") i „Times" („Ton orędzia Johnsona nie świadczy o optymizmie..."), żeby powołać się tylko na trzy najpoważniejsze dzienniki USA, Francji i W. Brytanii.

Logicznym następstwem owego „nie" jest oczywiście zapowiedź wyższych podatków i zahamowań w realizacji planu tzw. „wielkiego społeczeństwa", który trzy lata temu, także w orędziu, zapowiedział Johnson. Nie bez powodu korespondent Reutera nazwał przeto przemówienie Johnsona „posępnym", a korespondent „Combat" — „całkowicie negatywnym".

I jeszcze kilkanaście słów o Cyprze.

W ub. tygodniu prezydent Makarios zapowiedział na konferencji prasowej wybory prezydenckie, które mają się odbyć w terminie 45-dniowym. Zgodnie z konstytucją — w wyborze prezydenta uczestniczyć będą tylko cypryjscy Grecy, natomiast ludność pochodzenia tureckiego w oddzielnych wyborach wyłoni wiceprezydenta.

Wspominam o tym głównie dlatego, że Makarios uzasadnił potrzebę przeprowadzenia wyborów w następujący sposób:

„Problem cypryjski znajduje się obecnie w krytycznej fazie. Aby wyjść z obecnego impasu konieczne jest podjęcie ważnych decyzji i kroków. W tych warunkach przekonany jestem, że mogę pozostawać na stanowisku prezydenta tylko, jeśli taka będzie wola mego narodu".

Oczywiście, zwracają tu uwagę słowa: „Konieczne jest podjęcie ważnych decyzji i kroków". Co zapowiada Makarios po swym ponownym wyborze, którego przecież należy oczekiwać?

W. SŁAWSKI

Kronika tygodnia

■ Prezydent Johnson wygłosił na posiedzeniu obu Izb Kongresu tradycyjne „Orędzie o stanie państwa", zapowiadając nowy, rekordowy budżet, wyrażający się po stronie wydatków sumą około 186 miliardów dolarów, w tym 77,2 miliarda na cele wojskowe.

■ **Komunistyczna Partia Chin rozpoczęła przygotowania do IX Zjazdu, który — według AFP — okazuje się konieczny w celu przywrócenia autorytetu partii po zaburzeniach i anarchistycznych tendencjach powstałych w wyniku rewolucji kulturalnej.**

■ Johnson ujawnił, że w czasie kryzysu bliskowschodniego uruchomiona została po raz pierwszy „gorąca linia" między Moskwą a Waszyngtonem

■ **W związku z procesem czterech obywateli ZSRR oskarżonych o działalność wymierzoną przeciwko państwu radzieckiemu, dziennik „Komsomolskaja Prawda" omawiając sylwetki oskarżonych pisze: „Oskarżeni nie są już dziećmi. Pora, by amatorzy zrzucania na karb młodości wszelkich grzechów i niegodziwości zrozumieli, że ich stanowisko jest z gruntu błędne, a w danym przypadku całkiem nieuzasadnione. Niewinne owieczki z przezornością doświadczonych kupców prowadzą buchalterię „na leżności" i ze sprytem recydywistów zachowują ścisłą konspirację".**

■ Reuter: „Po posępnym „Orędziu o stanie państwa", przedstawionym przez prezydenta Johnsona, Amerykanie mają przed sobą perspektywę przedłużającej się wojny w Wietnamie, wyższych podatków i zmniejszenia tempa realizacji programów społecznych... Obserwatorzy twierdzą, że „Orędzie" głosi hasło „armaty i masło, ale mniej masła niż przedtem".

■ Studiowanie i stosowanie myśli Mao Tse-tunga w szeregach wojsk lotniczych chińskiej armii ludowej wkroczyło na wyższy etap. Podstawową cechą tych studiów jest lojalność wobec przewodniczącego Mao, która jest podstawowym miernikiem odróżniania „złego od dobrego" — pisze „Sinhua".

■ **W toaście na galowym przyjęciu wydanym na cześć prezydenta Tito, szef Kambodży — książę Sihanouk, oskarżył Stany Zjednoczone o cyniczne zignorowanie ich obietnic, gdy przypisują sobie prawo dokonywania operacji wojskowych na terytorium Kambodży. Sihanouk dodał, że ubolewa z powodu tego, iż tak mało krajów potępiło „tę skandaliczną arogancję i pogardę dla danego słowa honoru".**

■ **W chwili obecnej prawie 70 partii komunistycznych i robotniczych opowiedziało się na rzecz odbycia konsultatywnego spotkania w Budapeszcie w lutym br. Prasa węgierska zwraca uwagę, że podczas gdy w roku 1957 w czasie pierwszego spotkania w Moskwie było 33 miliony komunistów, obecnie 88 partii komunistycznych i robotniczych skupia w swych szeregach już 55 milionów członków.**

■ Na półkach księgarskich Nowego Jorku ukazać się ma 15 marca br. książka pt. „Myśli przewodniczącego L.B.J.", ujęta w formie parodii myśli Mao Tse-tunga. Książka ta liczaca 190 stron, zawiera wyjątki z przemówień Johnsona, z wypowiedzi na konferencjach prasowych i z innych oświadczeń składanych w ciągu 25 lat. Poszczególne cytaty umieszczono pod takimi tytułami jak: „Długi marsz w kierunku Wielkiej Społeczności", „Szczęśliwe masy", „Pełna chwały Partia Demokratyczna", „Niegodna inna partia". Za tytułem „Pokora i samokrytyka" umieszczono czystą, białą kartkę.

Przewodniczący połączonych sztabów USA, gen. Wheeler: — Uspokój się!!! Przez ciebie Hanoi nie słyszy naszych pokojowych propozycji.

■ W dniu 4 grudnia ub. roku minister poczt NRD wystosował pismo do ministra poczt NRF domagając się bezzwłocznego uregulowania zadłużenia poczty zachodnioniemieckiej u NRD, wynoszącego na dzień 30 września 1967 r. sumę 985 mln. marek. Wobec uchylania się Bonn od zapłacenia długów, władze NRD wystosowały pod adresem poczty zachodnioniemieckiej ponowny monit opiewający — w dacie 11 stycznia 1968 roku — na 985 745 329 marek.

■ **Minister spraw zagranicznych Wielkiej Brytanii — Brown wezwał do szybkich kroków na rzecz rozwiązania kryzysu na Bliskim Wschodzie i oświadczył izraelskiemu premierowi Eszkolowi, w czasie wizyty tego ostatniego w Londynie, że czas nie pracuje dla Izraela. Brown ostrzegł Eszkola, iż obecne umiarkowanie ze strony krajów arabskich może nie trwać w nieskończoność.**

■ Albania nie wydała wiz wjazdowych pięciu dziennikarzom belgradzkim, którzy chcieli wziąć udział wraz z grupą uczonych jugosłowiańskich w sympozjum odbywającym się w Tiranie, w związku z 500 rocznicą śmierci albańskiego bohatera narodowego Skanderbega.

■ W związku z decyzją premiera Wielkiej Brytanii — Wilsona, wycofania się Brytyjczyków ze strefy Zatoki Perskiej, czynniki polityczne Tel Awiwu domagają się, aby „stworzona w ten sposób próżnia została zapełniona przez Stany Zjednoczone".

■ **W artykule na temat „Zasady pokojowego współistnienia" — jugosłowiańskie czasopismo „Komunist" wyraża przekonanie, iż niezbędne jest przeniesienie w obecnej sytuacji głównego ciężaru walki, w ramach wspomnianej zasady, na ochronę i samoobronę niepodległości krajów przed wszelkiego rodzaju naciskami, jak również na przyspieszenie rozwoju ekonomicznego krajów mniej rozwiniętych. Przyczyną licznych kryzysów politycznych jest — zdaniem pisma — „coraz większa przepaść między krajami rozwiniętymi i zacofanymi".**

■ Wyniki najnowszych ankiet, przeprowadzonych w Wielkiej Brytanii, wskazują, że przewaga konserwatystów nad sprawującą obecnie rządy Partią Pracy, wzrosła do 17 proc. Jedynie 15 proc. ankietowanych wyraziło zadowolenie z sytuacji, w jakiej znajduje się Wielka Brytania.

■ **Jugosłowiańska Izba Przemysłowa poinformowała, że handlowcy zagraniczni wykazują duże zainteresowanie dla nowych zarządzeń, dotyczących wykorzystania kapitału zagranicznego w rozwoju przemysłu Jugosławii. Wiele przedsiębiorstw jugosłowiańskich przeprowadza obecnie rozmowy z firmami zagranicznymi w sprawie kooperacji w dziedzinie finansów i produkcji.**

■ Rząd premiera Wilsona zapowiedział znaczne redukcje budżetu wojskowego. Minister spraw zagranicznych Francji ocenił te posunięcia Wielkiej Brytanii jako „postęp Londynu w kierunku Europy".

■ Londyński „Times" tak charakteryzuje obecną sytuację polityczną swego kraju: „W sprawie Rodezji premier głosił że oczekuje załamania reżimu Smitha w ciągu kilku tygodni. Obecnie Smith może z powodzeniem oczekiwać tego samego, jeśli chodzi o Wilsona".

■ **„Potrzebna nam jest nowa, polityczna przestrzeń życiowa. Obronnymi granicami Izraela winny być rzeka Jordan i Kanał Sueski" — oświadczył jeden z pułkowników armii izraelskiej korespondentowi czasopisma „New Republic". Dziennikarz wskazuje, że opinie tego rodzaju wyrażała większość jego rozmówców izraelskich.**

■ W 1967 roku Rumunię odwiedziło ponad 1,2 miliona turystów zagranicznych, przede wszystkim z krajów Europy Zachodniej i Północnej.

John Bull do Wilsona: — Nie zapominaj o wielkości...

■ Tunezyjska prasa informuje o planie zorganizowania emigracji 100 tys. Żydów z krajów Maghrebu do Izraela. W sprawie tej odbyło się w grudniu ub. roku w Wenezueli posiedzenie Światowej Organizacji Syjonistycznej. Na zebraniu zapadły decyzje udzielenia pomocy finansowej emigrantom żydowskim z krajów północnej Afryki, w wysokości 1 000 dolarów na głowę.

■ AFP: „Fidel Castro „rzucił wyzwanie" prezydentowi Boliwii, gen. Barrientosowi, co do wymiany śmiertelnych szczątków „Che" Guevary za 100 „prowodyrów kontrrewolucyjnych wybranych przez CIA i Pentagon" i więzionych obecnie na Kubie.

■ **W Kairze specjalny trybunał rewolucyjny przystąpi do rozpatrywania sprawy 55 oficerów armii ZRA, oskarżonych o spisek dla obalenia rządów prezydenta Nasera. W grupie oskarżonych znajduje się b. minister obrony — Szams Badran oraz b. minister spraw wewnętrznych — Abbas Radwan.**

■ Senator Robert Kennedy wyraził pogląd, że USA powinny ponownie określić cele, do których zmierzają. „Czy wypowiadamy się za siłą wojskową? — zapytuje senator. — Poza naszymi granicami staliśmy się wielką potęgą w świecie. Niektórzy mówią nawet o nas, jako o nowym mocarstwie imperialnym. Ale nawet gdybyśmy pragnęli takiej roli, nie jest ona możliwa, jak to wykazała historia ostatnich 20 lat w sposób, nie pozostawiający żadnych wątpliwości".

■ „Republika Federalna — pisze „Frankfurter Rundschau" — jest obecnie największym europejskim eksporterem dla Chin. Handel z Chinami przekroczył w roku 1967 miliardową granicę".

■ Na murach Pekinu ukazały się ponownie gazetki „wielkich hieroglifów" zawierające informacje na temat „krwawych incydentów", które miały miejsce w różnych prowincjach Chin.

■ W Jugosławii w roku 1967 nastąpił spadek produkcji o 0,4 proc. w stosunku do roku poprzedniego.

LISTY do REDAKCJI

WIELCE SZANOWNY I DROGI REDAKTORZE!

Z prawdziwą przykrością stwierdzam, że w numerze noworocznym „Odgłosów" — czasopisma cenionego i darzonego przez nasze środowisko szczerą sympatią — znalazła się w dziale „Mikroportrety" poświęconym sylwetce dyr. Andrzeja Hundziaka informacja wprowadzająca w błąd opinię publiczną i wyraźnie godząca w dobre imię łódzkiej Wyższej Szkoły Muzycznej — uczelni służącej od 23 lat niestrudzenie sprawie rozwoju kultury muzycznej naszego miasta i kraju, i cieszącej się wysokim uznaniem władz i społeczeństwa.

Idzie tu o passus treści następującej:

„Był także wykładowcą łódzkiej PWSM, ale bez podania powodów uczelnia ta zrezygnowała z jego niewątpliwie bardzo wysokich kwalifikacji".

Otóż w imieniu władz naszej uczelni komunikuję, że nie jest prawdą jakoby uczelnia zrezygnowała ze współpracy dyr. A. Hundziaka bez podania powodów.

Powody te, niewątpliwie bardzo poważne, zostały podane dyr. A. Hundziakowi do wiadomości w oficjalnym piśmie do niego we właściwym czasie skierowanym.

Odpisem tego pisma Rektorat służy Panu Redaktorowi w każdej chwili, jeżeli uzna to Pan za potrzebne.

Prosimy uprzejmie Pana Redaktora o umieszczenie niniejszego listu w najbliższym numerze „Odgłosów" w celu wyprowadzenia opinii publicznej z błędu i oddania naszej uczelni należnej sprawiedliwości.

Wyrazy prawdziwego poważania łączy

REKTOR PWSM W ŁODZI
(—) Prof. Kiejstut Bacewicz

DRAPACZ CHMUR?

Dalszy ciąg ze str. 1

mieszkanie — wymruczała ze zdziwieniem starsza pani, która wyszła na spacer z dwoma dobrze odżywionymi pieskami o złośliwych mordkach.

— Ece, niejeden dyrektor załatwi sobie tam cztery pokoje z kuchnią.

— Głupstwa pan gadasz — rozzłościła się starsza pani. — Kto by zresztą chciał tak wysokachno mieszkać. Ja, to na drugie piętro ledwo się wdrapie.

— Ale pani naiwna, ma się rozumieć, że tam są windy.

— Wiem, wiem — ja od początku wiedziałam co tu będzie. A później od samego początku widziałam jak się to wszystko robi. Nieraz, to i do późnej nocy stałam przy oknie i przypatrywałam się pracy. Wcale się nie bałam. Bardzo ładnie to wyglądało: aparaty tlenowe, reflektory... zupełnie jakby odbywało się nakręcanie jakiegoś filmu. A ja się na tym znam, parę lat temu sama byłam statystka w filmie.

— Wszystko jedno, ale mieszkać na piętnastym piętrze, to jest coś. Mieć własny klucz od windy...

— A jak się winda popsuje?

— Niech tam, może się od czasu do czasu popsuć. Ale co wysoko, to wysoko. Całe życie mieszkałem na parterze. A w czasie okupacji, to nawet w suterenie.

— Dziwny z pana człowiek — oburzyła się starsza pani i pociągnęła swoje pieski do bramy.

3.

Na zewnątrz budynku, od strony Roosevelta, zainstalowany jest dźwig towarowo-osobowy, czyli po prostu winda. Ten typ dźwigu przechodzi tu także swój debiut.

Podłoga windy odrywa się od ziemi i pobliskie kamienice szybko zaczynają uciekać w dół. Twarde deski tylko pod nogami. Boczne ściany wykonane są z cienkiej siatki. Niektórzy podobno bardzo źle się w tej windzie czują, zwłaszcza powyżej dziesiątego piętra. Robotnicy, którzy jadą z nami do góry, patrzą na mnie z zainteresowaniem.

Nie, nie mam leku przestrzeni. Docieramy cało i bez strachu na wysokość prawie 70 metrów i oto jesteśmy wyżej od starej wieży spadochronowej na Zdrowiu.

Dach budynku, to taras, na którym stana chyba już za parę miesięcy stoliki, i skąd pracownicy Łódzkiego Zjednoczenia Budownictwa będą mogli oglądać rozległą panoramę miasta.

Tę panoramę można będzie oglądać tylko przez najbliższych parę lat. Bo przecież później widok zasłonią inne wysokościowce, które wyrosną dokoła. Już w tej chwili, o kilkadziesiąt metrów dalej, ukończono wykop na fundament niemal bliźniaczego wysokościowca dla Biura Projektów Przemysłu Włókienniczego. Stąd, z wysokości prawie 70 metrów, widać dokładnie plac budowy innego wysokiego gmachu, wyrastającego pomiędzy Mickiewicza, Piotrkowską i alejami Kościuszki.

Do wnętrza budynku przechodzimy z windy po wąskiej kładce. Bardzo wredne przejście dla tych, którzy mają lęk przestrzeni. Z boków stercza tylko jakieś płaskowniki czy kątowniki, dalej pusta, głęboka przestrzeń.

Na górnych piętrach już stoją ścianki działowe. Z dużej niebieskiej cegły-dziurawki z gazobetonu. Niektóre są nawet otynkowane. Miały być meblościanki. Ale inwestorowi zabrakło pieniędzy na taki luksus. Nad drzwiami do poszczególnych pokoików biurowych miały być także „naświetla", czyli okienka do oświetlania korytarzy. Jednak i to okazało się dla inwestora za drogie.

Schodzimy na dół. Schody są jeszcze w bardzo surowym stanie. Pod cienkimi zelówkami wyczuwa się wyszczerbiony, gruzłowaty beton.

Obok schodów cztery tunele, którymi pójdą cztery windy. Windy mają być szybkie, nowoczesne. Ludziom, którzy będą pracować na ostatnich piętrach, nie grozi piesza wspinaczka. Choćby nawet popsuły się trzy, to i tak do użytku zostanie jeszcze ta czwarta.

Na którymś z niższych pięter — po pewnym czasie trudno się rozeznać, które piętro jest które — długie rzędy dziurawki leżącej luzem. Na końcu rzędu murarze rozpoczęli właśnie stawianie ścianki działowej. Kilka chlapnięć zaprawa, staranne ułożenie dużej, niebieskawej cegły, znowu kilka chlapnięć zaprawą, i znowu murarz układa podany przez pomocnika niebieskoszary, pusty w środku prostokąt. Ruchy pewne, szybkie, a jest w nich i precyzja, i staranność, i nawet delikatność.

Robotnicy „giną" w tym ogromnym, wielopiętrowym wnętrzu. Jest ich mało — pięć kilkuosobowych brygad, razem około 20 osób. Nie chce się wierzyć, że gmach takich rozmiarów powstaje dzięki pracy tak małej garstki ludzi.

4.

Młody człowiek, który przed rokiem rozpoczął pracę zawodową, po skończeniu technikum budowlanego, także widział z okna swojego mieszkania jak powstawał ten wysokościowiec. Także oglądał błyski aparatów tlenowych, reflektory. Ale nie zachwycał się nocnymi widokami terenu budowy.

— Po tym domu widać, że w Łodzi powstaje naprawdę coś w rodzaju wysokiego centrum. Jednak czy wiadomo na pewno co z tego wyjdzie dalej? Tyle razy obiecywano nam wysokościowce. Na przykład na rogu Piotrkowskiej i Jaracza miał stanąć taki wysokościowiec. Skończyło się na „Magdzie", która mogłaby ucieszyć chyba tylko mieszkańców Kutna. Zresztą czy piętnaście pięter, to już naprawdę wysokościowiec? W Warszawie wybudowano kilka dwudziestoczteropiętrowców, zaprojektowano już nawet budynki o trzydziestu sześciu piętrach...

5.

Biuro budowy mieści się w praktycznym wozie Drzymały. Obok wozu zwyczajne, tradycyjne pakamery, gdzie robotnicy przebierają się w robocze ubrania, jedzą śniadanie, i gdzie w każdej chwili można napić się ciepłej kawy.

Pomieszczenie biurowe małe i zatłoczone. To znaczy — może i nie było zatłoczone, kiedy był tu tylko kierownik i dwóch mistrzów budowy. Ale przyszedłem ja — i zrobiło się prawie ciasno. Traf chciał, że oprócz mnie przyszedł jeszcze Stefan Szczepaniak, tynkarz, żeby dowiedzieć się czy tego dnia będą wypłacali pożyczki...

Kierownikiem budowy jest inżynier Stanisław Kożuch, absolwent Politechniki Krakowskiej. Budowaniem domów trudni się on ponad 12 lat, a w Łódzkim Przedsiębiorstwie Budownictwa Miejskiego nr 1 buduje już lat dziesięć. Można więc powiedzieć, że ma t r o c h ę d o ś w i a d c z e n i a. Postawił na nogi prawie pół Rokicia, Studium dla Obcokrajowców przy Kopcińskiego, Technikum Łączności koło Ronda Titowa...

Jednak ta budowa jest dla niego szczególnie ważna. Budynek jest prototypowy, zastosowano w nim nową technologię, cały szereg nowych materiałów i rozwiązań konstrukcyjnych, do jego realizacji wprowadzono kilka prototypowych urządzeń, jak np. wspominany już żuraw samowysuwany, dźwig towarowo-osobowy...

— Nie — powiada inż. Kożuch — zabrzmi to może dziwnie, ale nie ma kłopotów. Całkowity cykl produkcyjny budynku obliczono na trzy lata. Jednak dotychczasowa praktyka wskazuje na to, że termin ten zostanie skrócony co najmniej o rok. To sprawa ambicjonalna. Dla wszystkich — dla dyrekcji przedsiębiorstwa, dla podwykonawców, dla murarzy, tynkarzy, instalatorów... Właśnie dlatego, że budynek jest prototypowy. Wszyscy, którzy są z jego realizacją związani, pomagają nam jak mogą. Mamy świetne zaopatrzenie i w materiały, i w dobrych fachowców. To ostatnie jest szczególnie ważne.

Pracownicy zatrudnieni na budowie przy zbiegu ulic Roosevelta i Sienkiewicza są podobno naprawdę znakomitymi fachowcami. Zresztą nie tylko fachowcami, ale w ogóle ludźmi traktującymi swoje obowiązki rzetelnie, z pełnym zrozumieniem odpowiedzialności. Zdarzało się, że kiedy było potrzeba, to pracowali bez sprzeciwu i po szesnaście godzin.

Są to przeważnie pracownicy o długoletnim stażu pracy — nie tylko w budownictwie, ale i w tym przedsiębiorstwie. Np. Kazimierz Mamos, brygadzista tynkarzy, pracuje w ŁPBM nr 1 już czternaście lat, Zygmunt Krucki — osiem...

Dla Zygmunta Kruckiego te osiem lat to tylko cząstka praktyki w budownictwie. Pierwsze cegły i pierwsze wapno dzisiejszy mistrz budowy podawał majstrowi murarskiemu już 42 lata temu.

— Dobry robotnik na budowie — mówi dalej inż. Kożuch — to sprawa naprawdę ważna. A dobry okazuje się przeważnie ten, który jest i z zawodem, i z danym przedsiębiorstwem od wielu lat związany. Pamięta pan sławne poniedziałki murarskie? Dobry, długoletni fachowiec za bardzo się szanuje, żeby pozwalać sobie na jakieś tam poniedziałki. Te poniedziałki lansowali tacy, którzy dziś pracowali tu, jutro tam...

6.

W bramie stał siedmio- może ośmioletni chłopiec. W ręku trzymał łyżwy i spoglądał bezradnie na śnieg topniejący pod nogami.

Chłopiec widział, jak wychodziłem z biura budowy, jak zadzierałem głowę, żeby dobrze obejrzeć cały budynek. Wziął mnie widocznie za eksperta od spraw budownictwa, bo zapytał:

— Proszę pana, czy ten dom to już taki prawdziwy drapacz chmur?

— No, oczywiście — odpowiedziałem. — Nie widzisz, że ostatnie piętro ginie w chmurach?

— Pewnie, że widzę — odpowiedział chłopiec. — Ale w Nowym Jorku...

— Co w Nowym Jorku?...

— Nie tylko w Nowym Jorku. W wakacje byłem z mamą w Warszawie, to i tam widziałem drapacze wyższe od tego, prawdziwe drapacze chmur.

— Słuchaj, mały — nachyliłem się do niego. — Coś ci powiem w tajemnicy. Tutaj wszędzie wokoło staną za pięć lat takie ogromne drapacze chmur, jakich nie ma ani w Warszawie, ani nawet w Nowym Jorku. Na razie nic się o tym nie mówi, bo to ma być niespodzianka. Pamiętaj, nie wolno ci o tym pisnąć ani słówka! Nie piśniesz?

— Nie — wyszeptał chłopiec z zapartym tchem.

TADEUSZ ŻAKOWIECKI

Nagrody m. Łodzi

Rys. Picasso

Podobnie jak co roku i tym razem w przededniu rocznicy wyzwolenia Łodzi przyznano nagrody naukowe. Laureatami za osiągnięcia naukowe zostali:

PROF. DR ALEKSANDER P R U S Z C Z Y N S K I, profesor zwyczajny Akademii Medycznej, kierownik katedry anatomii patologicznej oraz pracowni onkologii doświadczalnej, od r. 1946 związany z Łodzią, organizator i wychowawca, autor wielu prac naukowych, poświęconych badaniom syntetycznych związków chemicznych i ich przydatności w leczeniu nowotworów złośliwych.

PROF. DR ADAM S Z P U N A R, profesor zwyczajny Uniwersytetu Łódzkiego, kierownik katedry prawa cywilnego, przewodniczący Komisji Prawniczej Łódzkiego Tow. Naukowego, w latach 1956—1962 prorektor i rektor Uniwersytetu Łódzkiego, autor 140 prac naukowych z dziedziny prawa odnoszących się głównie do problemów odpowiedzialności.

PROF. JERZY W E R N E R, profesor zwyczajny, obecny rektor Politechniki Łódzkiej, kierownik katedry budowy samochodów, a od r. 1965 — poseł na Sejm PRL, autor opracowania konstrukcji i produkcji samochodu „Star 20" i współautor rozwiązań konstrukcyjnych samochodu ciężarowego „Star 25" oraz autobusu „San".

Nagrodę w dziale upowszechnienia kultury otrzymał zespół w składzie:

Reż. ROMAN S Y K A Ł A oraz WŁADYSŁAW O R Ł O W S K I, TADEUSZ S Z E W E R A, MAREK W A W R Z K I E W I C Z i JERZY N I T E C K I — za opracowanie scenariuszy a następnie zrealizowanie wielkich widowisk historycznych **„Ballada partyzancka", „Idąc Tysiącleciem" oraz „Dni, które wstrząsnęły światem"**. Widowiska te, stojące na dobrym poziomie artystycznym, które wystawiano kilkakrotnie w plenerze, obejrzało ok. 300 tysięcy widzów.

Serdecznie gratulujemy!

Nożycami przez PRASĘ

DŻUNGLA

Artykuł Tadeusza Lubiejewskiego, jaki przyniosło „Życie gospodarcze", chciałoby się zaprezentować po przez większe wyimki, gdyż omawia jedną ze spraw szczególnie ważnych. Chodzi o „przerost działalności normatywnej", odbijającej się tak ujemnie na różnych dziedzinach naszego życia. Aby przestrzegać przepisów, przypomina autor, trzeba je znać. W praktyce jest to jednak zupełnie niemożliwe.

Przytaczaliśmy na tym miejscu kwiatuszki z niwy. Oto jeszcze jeden:

W maju 1966 roku w Dzienniku Urzędowym Ministerstwa Rolnictwa ukazało się zarządzenie, którego celem było „ujednolicenie wymagań jakościowych w zakresie produkcji kwiatów szklarniowych oraz obrotu nimi". Czytamy w tym zarządzeniu między innymi: „Łodyga prosta — to łodyga nie wykazująca skrzywień, łodyga sztywna — to łodyga trzymana w połowie długości nie wykazująca większych odchyleń od pionu niż 30 stopni, pąk rozchylający się — to pąk w którym płatki korony rozchylają się".

Nie chodzi jednak o zabawę w kwiatuszki!

Bo nie ma umysłu, który mógłby wchłonąć i zapamiętać ok. 48 tysięcy obowiązujących dziś u nas aktów prawnych. Przy czym każdy z nich zawiera kilkanaście lub kilkadziesiąt przepisów.

Wielkość nieokiełznanej, jak się okazuje, twórczości prawodawczej ustaliłem na podstawie „Bieżącego Skorowidza Przepisów Prawnych" redagowanego i wydawanego przez Wydział Wydawnictw i Szkolenia Zarządu Okręgowego Zrzeszenia Prawników Polskich w Katowicach. To trzytomowe dzieło, jedyne w swoim rodzaju, kojarzy mi się nieodparcie z owa przysłowiową brzytwą, której chwyta się tonący. Nie znaczy to bynajmniej, bym nie doceniał inicjatywy, trudu i skrzętności ludzi, którzy ów „Skorowidz" wymyślili i redagują. Stanowi on bez wątpienia jakąś formę pomocy jakiej udzielają sobie nawzajem prawnicy. Jednakże policzenie i spisanie nazw wszystkich drzew dżungli, nie zmienia faktu, że pozostaje ona nadal dżunglą.

Tom pierwszy Skorowidza wyszczególnia akty normatywne prawa ogólnego (prawo konstytucyjne, karne, cywilne, podatkowe, finansowe itp.); liczy 630 stron. Tom drugi rekapituluje dorobek prawa pracy — 820 stron. Tom trzeci, poświęcony prawu gospodarczemu, ma 948 stron. Na każdej stronie odnotowanych jest przeciętnie 20 aktów prawodawczych.

Zilustrujmy „działalność normatywną" na przykładzie gastronomii.

Fakt niewłaściwej pracy gastronomii nabiera specyficznego charakteru, kiedy stwierdzamy, że obowiązuje w niej kilkaset aktów normatywnych z tego 70 ogłoszonych w „Dzienniku Ustaw", 200 w „Monitorze Polskim", 160 w „Dzienniku Urzędowym MHW" i całe mnóstwo innych opublikowanych w biuletynach, przy pomocy pism wewnętrznych itp.

Albo:

Aktami prawnymi ministerstw zostały uregulowane drobiazgowo takie sprawy jak międzybiblioteczne wypożyczanie książek czy sposób sporządzania kotleta schabowego. Mimo, że bibliotekarstwem zajmują się fachowcy po wyższych studiach lub specjalnym przeszkoleniu, a restauracje zatrudniają zawodowych kucharzy.

Jeden ze skutków:

Zwraca przy tym uwagę fakt, że nadmierne wykorzystywanie uprawnień do stanowienia obowiązujących przepisów i wskaźników odbywa się kosztem innych uprawnień i obowiązków jednostek nadrzędnych, a mianowicie kosztem działalności organizacyjnej przy jednoczesnym zaniedbywaniu kontroli i zastępowaniu jej sprawozdawczością. Obowiązek wykonania ustaw Sejmu, uchwał Rządu czy KERM spełniany bywa często przez ministerstwa i inne urzędy w specyficzny sposób, sprowadzający się do wydania zarządzenia.

Wnioski, i to nie od dziś narzucają się niejako same.

Stanowienie norm, których treść wymaga częstych zmian, uzupełnień, dodatkowych wyjaśnień, wydawania instrukcji do instrukcji — nie gwarantuje ich należytej znajomości, a więc i skuteczności stosowania w praktyce. Tasiemcowe zarządzenia nie pomagają w pracy, często ją utrudniają...

Nie ma wątpliwości, że sprawa rozmiarów działalności prawotwórczej dojrzała do gruntownej dyskusji. Koniecznością jest przede wszystkim ustalenie jakichś rozsądnych granic, zapewniających względną przejrzystość przepisów prawnych. Niezbędne jest przyspieszenie prac kodyfikacyjnych. Wiele dobrego można by się spodziewać po ograniczeniu ilości uprawiających prawodawstwo organów.

Nie są to, oczywiście, wnioski jedyne.

DWA SPOSOBY

Podaje „Polityka":

„Są tylko dwa sposoby naprawienia błędów: usunąć albo przyczyny, albo krytyków" — rozpoczął podsumowanie dyskusji na jednym z wrocławskich zebrań pewien P.T. Prelegent.

Przyglądając się życiu, często dochodzimy do wniosku, że chętniej korzysta się z tego drugiego sposobu.

TROCHĘ TAKTU!

14. I. w niedzielę słuchaliśmy przez radio felietonu bodajże Andrzeja Szczypiorskiego z Warszawy. Prelegent bardzo rzeczowo i sugestywnie mówił o wojennej martyrologii polskiej, o tym, że pamięć o niej wymaga dokumentacji i właściwego wyrazu, gdyż same liczby strat — straszliwe! — nie atakują dostatecznie wyobraźni i świadomości ludzkiej.

Po felietonie natychmiast, bez żadnej pauzy, zaczęto nadawać muzyczkę — więcej rytmiczną niż melodyjną, urozmaiconą dzikim pobekiwaniem w rodzaju „je-je-je". Unieważniono felieton, mimo woli sprawiając wrażenie, że się go przedrzeźnia.

JAN OLECHNO

BOGDA MADEJ

Gdzie gospodyń sześć...

Otwarta rok temu „Magda" wrosła już w krajobraz Piotrkowskiej, a my przyzwyczailiśmy się do tej nowej placówki, powołanej dla wygody przede wszystkim gospodyń domowych. Rok czasu to akurat dość, żeby codziennemu, a także przypadkowemu klientowi pokazać jego sklep od tej drugiej strony stoiska, z całą pewnością mniej, a może wcale nie znanej. Wchodzimy więc do „Magdy" tym razem bez koszyczka...

NA PARTERZE

Wchodzimy od Piotrkowskiej, bo wejście od Jaracza zamknięte. Klient się zżyma; jeśli projektant wymyślił trzy wejścia, to chyba po to, żeby z nich korzystać. Słusznie, architekt zaprojektował trzy, ale zapomniał o prostym fakcie, że do sklepu ludzie wchodzą i wychodzą prawie bez przerwy, a w naszym klimacie co roku mamy mroźną zimę. Mimo tych zamkniętych drzwi, temperatura na parterze waha się w granicach 12 st. C., który to fakt dalszych komentarzy nie wymaga.

Parter, to jak wiadomo, „Delikatesy", choć słuszniejsza byłaby tu nazwa mniej szumna, bo jest to po prostu dobrze zaopatrzony, duży sklep spożywczy. Ale w końcu nie o nazwie będziemy mówić. Nie ma chyba potrzeby opisywać wnętrza; kto nie zna, niech się wybierze, choćby po wyśmienite ponoć pieczywo, kusząco rozłożone na gondolach. A tym, ża na rumianej skórce rozsiadły się wygodnie, przeniesione z brudnych macających rąk, bakterie i walczą o miejsce z kurzem, unoszącym się z podłogi, nie ma się co przejmować. Skoro specjaliści od zdrowia i higieny zdecydowali, że klient może sam wybierać sobie pieczywo, widać od brudnego chleba nikt jeszcze nie umarł.

W „Magdzie", a ściślej mówiąc w „magdzi nych Delikatesach" (skąd to rozgraniczenie, wyjaśnię potem), można się spotkać z dziwnym i zaskakującym porównaniem — przesunięcie sprzedawcy z innej placówki tutaj, traktowane jest tak, jak „zsyłka". Przypadkowy obserwator może się skrzywić: przesada, przecież w normalnym sklepie, gdzie nie ma samoobsługi, nie można pracować, siedząc na krzesełku. Spróbujmy ten pozorny paradoks wyjaśnić. „Delikatesy" robią dziennie 5,5 mln zł obrotu. To dużo. Ale każ dy dzień przynosi jeszcze jedną liczbę — w kasach brakuje około 1500 zł. Remanenty od stycznia ubiegłego roku wykazały manko w granicach 600—700 tys. złotych. Materialna odpowiedzialność spada, oczywiście, na personel sklepu, często na sprzedawcę, który dopiero co rozpoczął pracę i jego pierwsza pensja wynosi mniej więcej 900 zł. Teraz trudno się już dziwić, że personel w „Delikatesach" stale się zmienia, że ludzie nie chcą tam pracować. Gdzie więc szukać przyczyn takiego stanu rzeczy? Jest ich kilka, a te, które omówimy, z pewnością nie wyczerpują zagadnienia. Pierwsza, najbardziej smutna, to nieuczciwość klientów. Nie ma dnia, aby nie przyłapano kogoś na kradzieży masła, wina, albo wędlin, bo to są właśnie te najbardziej „chodliwe" towary. Wśród sklepowych złodziei przeważają kobiety, często o solidnym i nie wzbudzającym podejrzeń wyglądzie. Kradną przy stoiskach, ale obok tej, równie popularna jest inna metoda. W kolejce do kasy przerzuca się niepostrzeżenie wybrane towary ze sklepowego koszyka do własnego.

Nie ma się jednak co łudzić, sami klienci tyle nie nakradną. Oczywiście, nie rzucam tutaj żadnych oskarżeń pod niczyim adresem. Ale przecież w ciągu ubiegłego roku stwierdzono wypadki nieuczciwości i wśród personelu. Co trzeba zrobić, aby straty nie były aż tak duże? Nie wystarcza wzmocnić kontrolę i dyskretną opiekę nad klientami, chociaż ma rację przypadkowy obserwator, który zżyma się na siedzące, względnie często rozmawiające ze znajomymi, sprzedawczynie. Tutaj wystarczy moment nieuwagi. Nie mniej ważny jest odpowiedni dobór per sonelu. Samoobsługa to specyficzny rodzaj sprzedaży, wymagający odrębnych kwalifikacji i przede wszystkim zgranego, uczciwego personelu. Dlatego chyba niecelowe jest kierowanie do „samów" sprzedawców wbrew ich własnej woli, dlatego w dużym sklepie o wysokich obrotach nie powinna pracować niedoświadczona jeszcze sprzedawczyni, debiutantka w swoim zawodzie. Dlatego wresz cie kierownik sklepu powinien mieć prawo natychmiastowego zwalniania pracownika, po stwierdzeniu nadużycia. Przy obecnym systemie pracownik pozostaje aż do remanentu, co jest chyba dużym nieporozumieniem. Ażeby miał kto w „Magdzie" pracować, żeby ludzie nie bali się tak bardzo materialnej odpowiedzialności, trzeba by może pomyśleć i o innej siatce płac; w Warszawie, w podobnej placówce nie ma sprzedawcy, który zarabiałby mniej niż 1500 zł. Jeśli to wszystko nie pomoże, to jedynym dyskusyjnym wprawdzie, ale na pewno radykalnym posunięciem będzie powrót do sprzedaży tradycyjnej. Doświadczeni handlowcy twierdzą, że wtedy obroty by wzrosły, bo klient tak bardzo za samoobsługą nie przepada, i przede wszystkim zlikwidowałoby się ujawniane przy każdym remanencie manka, co w końcu jest tu sprawą najważniejszą. Chyba nie tylko dla samej „Magdy"...

I PIĘTRO

to teren, na którym rozłożyły się stoiska MHD Gospodarstwo Domowe, gdzie gospodyni może zaopatrzyć się we wszystko, co w domu potrzebne; od naparstka i szpilki, aż do pralki i lodówki. Bogaty, różnorodny asortyment, ustawiony frontem do klienta powinien gwarantować wysokie obroty, myli się jednak kto sądzi, że tak rzeczywiście jest. I piętro jest instytucją deficytową, a plan wykonują jedynie dwa stoiska: pasmanteria i tworzywa sztuczne. Nawet rozłożone na przesadnie dużej, 120 m kw. powierzchni, różnej wielkości i koloru garnki, rondle i inne naczynia kuchenne nie zachęcają dostatecznie gospodyń do zakupów. I nic chyba nie jest w stanie pomóc temu stoisku, które od samego początku nie może uporać się z planem. Dlaczego wobec tego klienci nie korzystają z usług „Magdy" tak, jakby tego sobie życzył handel? Odpowiedź jest prosta. Wystarczy przejść Piotrkowską między Próchnika i Zieloną, albo skręcić w boczne ulice na tym samym odcinku, aby przekonać się, że sklepów o tym samym asortymencie, który znajdziemy w „Magdzie" jest kilkanaście, nie licząc sklepów prywatnych. Trzeba się również zastanowić, czy przypadkiem nie należałoby zmienić, względnie rozszerzyć zakres sprzedawanych artykułów; wszak proszek do prania można dostać w każdym kiosku „Ruchu". A może należałoby zapewnić „Magdzie" priorytet w dostawie atrakcyjnych towarów? W końcu klienta trzeba czymś przyciągnąć do sklepu.

II PIĘTRO

zajmuje spółdzielnia fryzjerska i gabinet kosmetyczny oraz kawiarnia. Założenie może było i słuszne; po zakupach pani domu idzie uczesać się, małżonek czeka, otoczony paczkami, popijając kawę. Warianty mogą być zresztą różne. Sęk w tym, że kobieta, która nastawia się na fryzjera, nie myśli chyba o zakupach, i odwrotnie. Wobec tego projektowanie zakładu fryzjerskiego „na szczycie" domu handlowego, bez oddzielnego wejścia, nie bardzo miało sens. Praca w gabinetach jest uzależniona od dolnych pięter. Wcześniejsze zakończenie pracy w „Delikatesach" i w sklepie gospodarczym np. w dniach przedświątecznych, wprowadza prawdziwe zamieszanie w obydwu gabinetach, gdzie z racji wspólnych wejść, trzeba w tym samym czasie kończyć pracę. A i dzień powszedni nie jest pozbawiony kłopotów. Sklep można zamknąć szybko, ale trudno zostawić klientkę z nie uczesaną lub niedofarbowaną głową. Podobna sytuacja jest w kawiarni, która stanowi zresztą odrębny rozdział w całym „Domu Gospodyni". Szczytne założenie, kawiarnia dla wygody klienta, wzięło w łeb. Wystarczy zajrzeć i popatrzeć na publiczność oblegającą kawiarniane stoliki, by odeszła ochota do wypicia kawy w „Magdzie". Kawiarnię opanowała młodzież i tu trzeba powiedzieć, nie ta, która przynosi chlubę miastu. Po godz. 18 zaglądać nawet nie radzę, bo już na schodach trudno przejść obok grup młodzieńców z przydługimi włosami. Współczuć należy paniom, które przez kawiarnię przechodzą do fryzjera i narażone są na niewybredne, często wulgarne komentarze. Młodzież nie tylko okupuje stoliki, stara się również o godziwą rozrywkę. Zainstalowany dla wygody klientów magnetofon, który miał zastępować tradycyjną książkę życzeń i zażaleń, został zepsuty. Ponieważ przestrzeń obok kawiarni leży bezpośrednio nad stoiskami I piętra i nie jest oddzielona żadnym sufitem, co „dowcipniejsi" kawiarniani bywalcy plują z góry na ludzi, rzucają śmieci, niszczą dekoracje, a dla jeszcze lepszej zabawy, sypią z góry proszek do kichania. Bogu należy dziękować że do tej pory nie wzniecili jeszcze pożaru, o co w tych warunkach nietrudno. Póki jednak kierownictwo kawiarni będzie swoich, takich właśnie, klientów tolerować, póki pozwoli im siadać przy stolikach w płaszczach, póki przy wodzie sodowej będzie można siedzieć bez małą cały dzień, nie ma co oczekiwać poprawy, ani łudzić się, że przy kawiarnianych stolikach zaczną siadać klienci „Magdy". Nieporozumieniem chyba jest także bogato zaopatrzony w wina bufet. Młodym ludziom nie należy podawać alkoholu, co już dawno przecież zostało dowiedzione. Jest jeszcze jedno wyjście; po prostu zlikwidować kawiarnię...

KILKA UWAG KOŃCOWYCH

„Stosownie do ostatecznych uzgodnień w Łódzkim Zjednoczonym Przedsiębiorstwie Handlowym przyjmuje się, że „Dom Gospodyni" będzie samodzielną jednostką handlową, pracującą na ograniczonym rozrachunku gospodarczym. Administracja budynku będzie prowadzona przez własne biuro, podległe dyrektorowi Domu Towarowego realizowanego przy placu Niepodległości". Cytat ten wyjęty jest z projektu dotyczącego „Magdy" i niedwuznacznie stwierdza, jak ma wyglądać system zarządzania domem. I było to chyba jedynie słuszne rozwiązanie. A tymczasem... A tymczasem w całym domu, zamiast jednolitego kierownictwa mamy: kierownictwo w „Delikatesach", kierownictwo w gospodarstwie domowym, kierownictwo w gabinecie fryzjersko-kosmetycznym i kierownictwo w kawiarni. Każde z nich reprezentuje oczywiście interesy zupełnie odrębnego przedsiębiorstwa z tym tylko, że kierownik z ramienia MHD Gosp. Domowe sprawuje również ogólny nadzór administracyjny. O karkołomnych rozliczeniach kosztów utrzymania „Magdy" lepiej nie wspominać. I jeśli mądre przysłowie „Gdzie gospodyń sześć...", nie całkiem jeszcze sprawdza się w wypadku „Magdy", to tylko dzięki elastycznej polityce i dobrej woli czterech użytkowników jednego domu. Tylko jak długo jeszcze starczy im cierpliwości? Dlaczego do tej pory „Magda" pracuje wbrew założeniom na jakich została powołana do życia?

Niechże „Dom Gospodyni" reprezentuje łódzki handel nie tylko samą nazwą.

Z teki Wacława Kondka

ULICA PIOTRKOWSKA

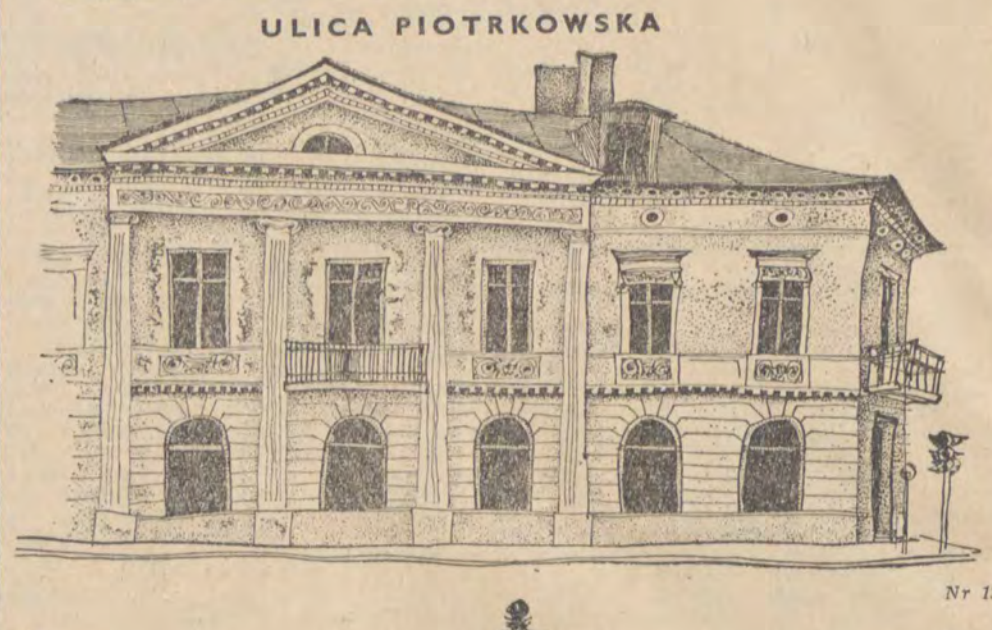

Nr 13

Nr 11

JERZY URBANKIEWICZ

Myślałem że to kompot

Przychodzi nierzadko moment, że Frontczak z Chojen, Bąkała z Żubardzia czy Kapuściński z Bałut zaczynają odczuwać niepokój, który jest z nimi, kiedy grzebią się w nicielnicy, kiedy stoją w rzędku za podgardlaną, lub trzymają się uchwytu w przepełnionym tramwaju. Z niepokoju tego rodzi się działanie, potocznie zwane „czynem społecznym". Czasem staje się ono pasją i oto zaczyna się pasmo udręki polegające na tym, że człowiek się miota pomiędzy własnym przekonaniem, że chce robić dobrze, a bezdusznością tych, od których podpisu czy pieczątki zależy, czy dobry zamiar stanie się ciałem, czy też pozostanie na zawsze papierem.

Motywy wdania się w ten niebezpieczny proceder bywają różne. Czasem instytucja organizująca czyny społeczne przekona człowieka, zachęci, ale sama nie ma wpływu na wałkoni, którzy póty trzymają swoje długopisy i pieczątki w ukryciu, póki ktoś nie znajdzie na nich sposobu. Bywa, że własna tęsknota za pięknem każe człowiekowi zakasać rękawy i zrealizować własny ideał piękna w zasięgu własnego podwórka. Trzeci motyw — to nagląca potrzeba i przekonanie, że bez własnego wysiłku nie da się ani wody przybliżyć do domu, ani zlikwidować błota na ulicy, ani stworzyć dzieciakom zakątka do zabawy. Źródłem decyzji o podjęciu społecznego wysiłku bywa też instynkt społeczny, pasja, przekonanie, że coś się społeczeństwu należy — nieodpłatnie. A wreszcie i tak bywa, że się latami czeka na załatwienie jakiejś sprawy nieskomplikowanej, ale wymagającej udziału fachowca, a skoro się go doczekać nie można, załatwia się inne sprawy wysiłkiem społecznym, aby pokazać, że nas stać na to, by dla dzielnicy coś zrobić, a dla nas, to się żałuje zduna.

Co roku widnieją w prasie milionowe sumy ilustrujące wysiłek społeczny miasta. Więc 40 milionów złotych zainwestowano w Łodzi w ciągu trzech kwartałów 1967 roku, w tym zaś 25 milionów zł stanowi ekwiwalent włożonej przez łodzian bezpłatnej pracy. A dodajmy, że zarządzenia i uchwały regulujące tę dziedzinę określają czyny społeczne, jako legitymację dobrego gospodarowania w radach narodowych. Jeżeli więc władze państwowe domagają się od komunalnych, by się wykazywały umiejętnością przetwarzania wysiłku społecznego w bogactwo, to — należy przypuścić — aby się tylko znaleźli ci zwykli ludzie do łopat i kilofów, pomnożymy nasz społeczny majątek w mgnieniu oka. Tak jednak nie jest. Bowiem niezbędnym dodatkiem do pracy musi być kamień, krawężnik, drzewko, płyta chodnikowa, ciężarówka, fachowiec — a tu już pomiędzy władzą a obywatelem — społecznikiem siedzi władzunia z długo, długo, długopisem oraz pieczątką i zobaczymy, kto więcej może — daleka Rada Ministrów czy też tutejszy referent, a tym bardziej kierownik — Kowalski.

A fakty wyglądają tak.

Za koleją, w kierunku Pabianic jest ulica Familijna. To jedna z tych, które w bieżącym dwudziestoleciu stały się formalnie — ulicami dużego miasta. W rzeczywistości zachowały charakter wsi — uliczówki, błotnistej lub pełnej pyłu, ze skrzypem studziennych kołowrotów, psem na łańcuchu, budką dla szpaków i zagonkiem ziemniaków. Ale ludzie prędzej wsiąkli w miasto niż ich ulica. Więc zagonki przybrały wygląd schludnych ogrodów, okiennice ubrały się w biel lub zieleń Emalii Syntetycznej Ogólnego Zastosowania, a miejsce poczerniałych sztachet zajęła siatka. Mieszkańców zaś poczęła mierzić błotnista krecha ulicy i drewniany wychodek na tyłach posesji, zwłaszcza, że zza jabłonek wieżowce powystawiały błyszczące ślepia górnych pięter. Próby normalnego załatwienia nie pomogły. Urzędnik z Dzielnicowej Rady Narodowej przyszedł na wizję lokalną i orzekł, że nie powinni wylewać pomyj na ulicę, bo to właśnie z tego robi się błoto. Natomiast nie powiedział, gdzie mają wylewać. Po czym odłożył decyzję w poruszonej sprawie na lat cztery. Wtedy przewodnicząca komitetu blokowego, Maria Ścisłowska, poczęła pisać podania. Raz na kwartał jedno. Kiedy doszła do mendla, wysłała petycję zaopatrzoną w pięćdziesiąt podpisów, że mieszkańcy sami wykonają niezbędne roboty w czynie społecznym, niech tylko ADM da materiał i te rzeczy, którymi mieszkańcy nie dysponują. W odpowiedzi kierownik Zasada wygłosił kilka uwag zniechęcających i posłał ich — nie udało mi się stwierdzić, dokąd, gdyż adres został podobno wyrażony w języku obcym. Nie posłuchali, a zwrócili się do przewodniczącego Dzielnicowej Rady Narodowej i ten wydał odpowiednie, zgodne z życzeniami mieszkańców decyzje. Ten fakt pogrążył ich ostatecznie w oczach ob. kierownika i innych zainteresowanych kierowników, i oto zaczęła się rewia wygłupu, wyglądająca mniej więcej tak. Kopali mieszkańcy społecznie rów pod krawężniki, a kierujący robotami kazał im rzucać ziemię na jezdnię. Kiedy skończyli, kazał im tę ziemię przerzucać na chodnik, bo tego wymagała technologia. A później trzeba było kłaść płyty chodnikowe, więc im kazali tę ziemię rzucać z powrotem na jezdnię. Kiedy się buntowali, wytłumaczono im, że tak trzeba, bo... w Wydziale Drogowym RN brak części do samochodów.

Tu wypada poinformować Czytelnika, że w tej dziedzinie absurdu, po jakiej to spacerujemy, każde posunięcie ma swoje pseudo-logiczne uzasadnienie. Zupełnie jak w owym angielskim dowcipie. Wszedł Anglik do restauracji i poprosił o obiad. Kiedy kelner przyniósł mu zupę, gość wylał ją sobie na głowę. „Czemu pan wylał sobie zupę na głowę?" — zapytał kelner. „Zupę? — o przepraszam, ja myślałem, że to kompot". Zechce Czytelnik zapamiętać ten dowcip, bowiem w artykule niniejszym wypadnie powoływać się nań jeszcze wielokrotnie.

Jakoś więc zrobili sobie mieszkańcy ulicy Familijnej ten chodnik. Ale zamiast po nim spacerować i cieszyć się, że mają za sobą owe 6 lat zmagań o zużytkowanie ich chęci do pracy społecznej, postanowili zrobić placyk zabaw dla dzieci. Placyk jest, ale trzeba jego powierzchnię podnieść i wyrównać, do

TERESA WOJCIECHOWSKA

Na pohybel lasom

Odwiedzały mnie dawniej dzieci, pukały do drzwi i pytały, czy przypadkiem nie mam makulatury. Wychodziły zawsze obdarowane szczodrze. Zadowolenie było obustronne.

Moje, bo pozbyłam się zbędnych papierów, ich, bo przestało im zagrażać obniżenie stopnia z jakiegoś tam przedmiotu. Już drugi rok dzieci nie przychodzą. Stare gazety, papiery, gromadzą się i nie bardzo wiem co z nimi począć. Co jakiś czas wynoszę je i kładę na murku ogradzającym śmietnik. I zastanawiam się, czy makulatura przestała już być potrzebna. Obserwacje na to nie wskazują. Przedświąteczne karpie machały ogonami przez oczka siatek na zakupy, pęta kiełbasy wysypywały się ze skąpych skrawków papieru, przysłowiowych śledzi nie można było pakować w przysłowiowe gazety, bo limitowane nakłady wykupywane są już rano.

W jednej z gazet przeczytałam niedawno wzmiankę, pełną optymizmu, że w ubiegłym roku Polska rozpoczęła eksport makulatury, że skromny plan 6 tys. ton został przekroczony i planuje się eksport dalszych 10 tys. ton. Cóż za wspaniałe efekty skupu makulatury: mamy tego skarbu tyle, że możemy coraz więcej eksportować! Tylko jeżeli jest tak dobrze, to dlaczego jest tak źle?

Sprawa okazała się całkiem jasna, po zasięgnięciu języka u źródeł, czyli w Zjednoczeniu Celulozowo-Papierniczym — reprezentancie przemysłu i Centrali Surowców Wtórnych — przedstawicielu skupu makulatury.

„KLĘSKA URODZAJU"

była przyczyną podjęcia eksportu makulatury, przyczyną „klęski" było przeładowanie magazynów makulaturą, przyczyną przeładowania był fakt, że nie przyjmował jej w dostatecznych ilościach przemysł. Zapewne nie należy się więc dziwić, że w tej sytuacji radość budzi fakt znalezienia wyjścia z impasu w eksporcie. Radość tę jednakże zmącić może fakt, że Polska importuje nie tylko papier, importuje również makulaturę. Dla przykładu: w latach 1964—65 sprowadzono około 5 tysięcy ton tego surowca.

Papiernictwo jest przemysłem inwestycyjnie bardzo drogim (jedno stanowisko pracy kosztuje do 2 milionów zł, podczas gdy np. w przemyśle maszynowym — kilkadziesiąt tysięcy) i rozwój tego przemysłu postępował u nas dotychczas zbyt wolno. Zasadą przyjętą w świecie jest szybszy rozwój przemysłu papierniczego, niż innych gałęzi przemysłu. Jeśli wzrastają one o 100 jednostek — przemysł papierniczy — o 120. U nas sytuacja była dotychczas odwrotna: gdyby inne gałęzie przemysłu rosły o 40 proc., papiernictwo — o 20 procent. Jesteśmy w tej chwili jednym z bardziej zacofanych krajów w Europie pod względem produkcji i zużycia papieru. Na 1 mieszkańca przypada u nas 28 kg papieru rocznie (Czechosłowacja — 45 kg, NRD — 50 kg), podczas gdy średnia zachodnioeuropejska wynosi 100 kg. (NRF — 120 kg, USA — 220 kg). Krajowa produkcja papieru wynosi 850 tys. ton, zużycie — 900 tysięcy.

DUŻO, ALE NIEDOBRA

Udział makulatury w produkcji krajowej wynosi 30 procent, ale mógłby być większy. W Polsce zbiera się dużo w stosunku do zużycia papieru, ale ilość jej nie idzie w parze z jakością. Prawie 50 proc. stanowi najgorszy gatunek (makulaturę dzieli się na 13 gatunków) tzw. makulaturę śmietnikową, papier zanieczyszczony, o bardzo niskiej, albo żadnej wartości. O jej jakości świadczą cyfry: na ponad 200 tys. ton makulatury 100 tys. ton to właśnie śmietnikowa, a tylko 5 tys. ton biała — nadająca się do produkcji książek i gazet. Stąd „grymasy" przemysłu, który przyjąłby jeszcze makulaturę, ale tę wyższej jakości. Mógłby jej wchłonąć jeszcze niebagatelną ilość 85 tys. ton. Zbiornice zaś oferują surowiec gorszy, zanieczyszczony. Przemysł nie przyjmuje, w magazynach tworzą się zatory.

Z magazynami Centrali Surowców Wtórnych też nie jest najlepiej. W 1966 r. 19 tysięcy ton makulatury leżało pod gołym niebem — na deszczu i śniegu. W dobrych warunkach makulatura może leżeć najwyżej rok, w takich — nie powinna leżeć w ogóle. Mimo ciągłej rozbudowy pomieszczeń, CSW określa braki magazynowe na około 10 tysięcy metrów kwadratowych. W dodatku 40 proc. magazynów stanowią tzw. wiaty, czyli składowiska pokryte tylko dachem, a więc niewiele różniące się od tych pod gołym niebem.

KOMU STARE PAPIERY?

Ale nie w złych warunkach magazynowych leży przyczyna złej jakości makulatury. Tkwi ona w słabości aparatu skupu, w nieudolności i nieodpowiednich warunkach zbiórki. Jaką drogę odbywa zużyty papier nim wróci powtórnie do przemysłu? 50 proc. stanowią odpady papierowe, które wędrują bezpośrednio z fabryk do fabryk i z tymi nie ma kłopotu Centrala Surowców Wtórnych. Druga połowa uzyskiwana jest ze zbiórki. CRS (0,6 proc. ogólnej ilości) zajmuje się skupem makulatury na wsi. CZSP — w mieście, od małych przedsiębiorstw handlowych i ludności. I właśnie aparat CZSP jest słaby, punkty skupu ciasne, małe, bez zaplecza magazynowego, pracują nieregularnie, dysponują niedostatecznym transportem. Całkowicie zaniedbana jest akcja propagandowa wśród społeczeństwa, nie stworzono podstawowych warunków, ułatwiających ludziom oddawanie tego cennego surowca, (w równej mierze dotyczy to zresztą innych, nie mniej cennych odpadków użytkowych). Nie można mieć pretensji do obywatela, że uzbierawszy kilkanaście gazet i tyleż torebek papierowych nie biegnie z nimi do najbliższego (często bardzo odległego i często zamkniętego) sklepiku skupującego makulaturę.

Jedyną szansą były kiedyś dzieci szkolne, które w obawie przed obniżeniem stopnia na świadectwie, biegały po domach i zbierały stary papier. Obecnie nacisk szkoły w sprawie zbiórki makulatury zelżał i efekty łatwo określić liczbami. Szkoły dostarczały jeszcze przed paru laty 12 tys. ton makulatury, dziś dają 7 tysięcy. Liczby te świadczą również o tym jak wiele papieru — i to wysokiej jakości marnuje się w domach.

Mimo że działają u nas jeszcze bodźce ekonomiczne, a makulatura jest stosunkowo (w porównaniu z danymi zagranicznymi) dobrze płatna. Istnieje bowiem prawidłowość, że im zużycie papieru jest w kraju większe, tym makulatura tańsza, ale jednocześnie ludzie chętniej się jej pozbywają.

CO BY BYŁO, GDYBY...

Przemysł papierniczy w szybkim tempie odrabia zacofanie inwestycyjne. W przyszłej 5-latce przewiduje się 17 miliardów złotych na budowę i unowocześnienie zakładów przemysłu papierniczego. Z każdym rokiem rynek krajowy ma otrzymywać 100 tys. ton papieru więcej. Budowa kombinatu celulozowo-papierniczego w Świeciu zostanie ukończona w 1974 roku i zmieni radykalnie sytuację w przemyśle papierniczym. Za 2–3 lata ruszy w Świeciu wielka kartoniarka, która będzie przerabiać około 70 tys. ton makulatury rocznie. Ogółem Świecie pochłonie rocznie 100 tys. ton makulatury. A więc połowę tego, co się dziś zbiera w całym kraju. Dla orientacji — plany skupu makulatury (wykonywane z nadwyżką) na przestrzeni ostatnich kilku lat:

1964 r. — 177 800 ton (w tym	**Łódź**	**19 800)**
1965 r. — 198 700 ton (Łódź —		**21 000)**
1966 r. — 205 000 ton (Łódź —		**21 200)**
1967 r. — 212 300 ton (Łódź —		**21 700)**
1968 r. — 234 000 ton (Łódź —		**23 200)**

Jeżeli takie ilości uzyskuje się przy słabym skupie, to można chyba bez zbytniego optymizmu powiedzieć, że zebranie od ludności ilości dwukrotnie większej, przy sprawnie działającym aparacie i dobrej propagandzie, nie będzie przedstawiało większych trudności. W tym roku zaplanowano w naszym mieście skup 23 tysięcy ton makulatury. Zgodnie z proporcjami połowa tego, czyli 11,5 tysiąca ton pochodzić będzie z zbiórki w społeczeństwie. Dokładnie taką samą ilość papieru zużywają rocznie łódzkie drukarnie książkowe i gazetowe — 11,5 tysiąca ton (Łódź jest jednym z miast zużywających najmniej papieru na słowo drukowane). Gdyby więc zebrać o 100 proc. więcej makulatury, potrzeby drukarskie Łodzi przez wzrost produkcji papieru byłyby zaspokojone w całości, a nadwyżki można by przeznaczyć na dodatkowe nakłady prasy i książek.

Skutki tego, że makulatura zbierana jest nie bezpośrednio w domach, a wygrzebywana ze śmietników, brudna, zanieczyszczona sprawiają właśnie, że magazyny CSW są przepełnione, a sama Centrala Surowców Wtórnych bierze się za wynalazczość. Ostatnio w dyrekcji opracowano wynalazek, który został opatentowany: produkcja płyt izolacyjnych dla budownictwa, wytwarzanych z najniższego gatunku makulatury, tzw. natronowej, czyli worków po cemencie. Zbiera się jej rocznie niebagatelną ilość 6 tys. ton, a przemysł nie przyjmuje jej, gdyż obniża wartość reszty surowca. Płyty produkowane z makulatury natronowej pomyślane są jako podkład do parkietów i podłóg z tworzyw sztucznych, ich dodatkową i nie planowaną zaletą jest to, że zmniejszają akustyczność pomieszczenia. Poza tym płyty wyglądają bardzo efektownie i mogłyby być używane do elementów dekoracyjnych, np. imitacji boazerii. CSW planuje uruchomienie zakładu produkującego takie płyty. W ogóle instytucja ta, zmuszona koniecznością, przejawia tendencje do uruchomienia własnych zakładów produkcyjnych. W 1966 r. otwarto dwa zakłady wytwarzające pudełka tekturowe i inne opakowania z odpadków niektórych gatunków tektur falistych. Produkcja rozwija się pomyślnie i ze 160 ton w pierwszym roku wzrosła do 6 tysięcy ton w roku bieżącym. Zakłady Centrali używają najgorszych, odrzuconych przez przemysł gatunków makulatury, są opłacalne, przynoszą dochody, zapobiegają marnotrawstwu cennego surowca.

To są rzadkie przykłady, na tle których tym jaskrawiej uwydatnia się ogromne marnotrawstwo w skali ogólnopolskiej, jakiego jesteśmy świadkami. Marnuje się cenny, drogi deficytowy surowiec, którego w Polsce stale brak, dla którego poświęca się lasy lub dewizy. Ograniczane są nakłady książek, czasopism, gazet, wynosimy ze sklepów nie opakowane sprawunki. A jednocześnie marnujemy bogactwo, które niszczeje na śmietnikach.

Perspektywy przemysłu jasno wskazują na to, że zapotrzebowanie na makulaturę znacznie wzrośnie. A tymczasem eksportujemy makulaturę do NRF, Holandii, Finlandii, Jugosławii i Austrii. W zeszłym roku wysłaliśmy 20 tys. ton, w tym roku wyślemy 30 tysięcy. I nie sądzę, żeby to było 30 tys. ton makulatury śmietnikowej. Nasi kontrahenci żądają najwyższych gatunków surowca, takich właśnie jakich potrzebuje nasz przemysł już w chwili obecnej. A tymczasem nie czyni się nic, by przygotować grunt dla zwiększonych potrzeb przemysłu, dla poprawienia jakości skupywanej makulatury.

Nawet w krajach tak wysoko uprzemysłowionych jak ZSRR czy NRF istnieje instytucja zbieraczy domowych, rekrutujących się spośród inwalidów, rencistów i tych wszystkich, którzy chcą dorobić parę złotych. Nie naszą sprawą jest dawanie recept i przepisów. Centrala Surowców Wtórnych planuje wzmocnienie sieci punktów skupu, wprowadzenie novum w postaci kiosków, które jednocześnie propagowałyby zbieranie surowców wtórnych (nie tylko makulatury) i były punktami skupu, ponowną aktywizację młodzieży szkolnej itd. Nie wiem czy to wystarczy, czy nie. Nie wiem czy niemożliwością jest u nas zorganizowanie sieci zbieraczy domowych (sprawdzono, że można na tym osiągnąć do 1 500 zł miesięcznie), czy nie można posegregować pojemników na śmieci i umieścić na nich odpowiednich napisów, by ludzie wiedzieli gdzie co mogą wyrzucać.

Jedno wiadomo na pewno. Że nie jesteśmy tak bogaci, żeby wyrzucać cenne surowce na śmietnik.

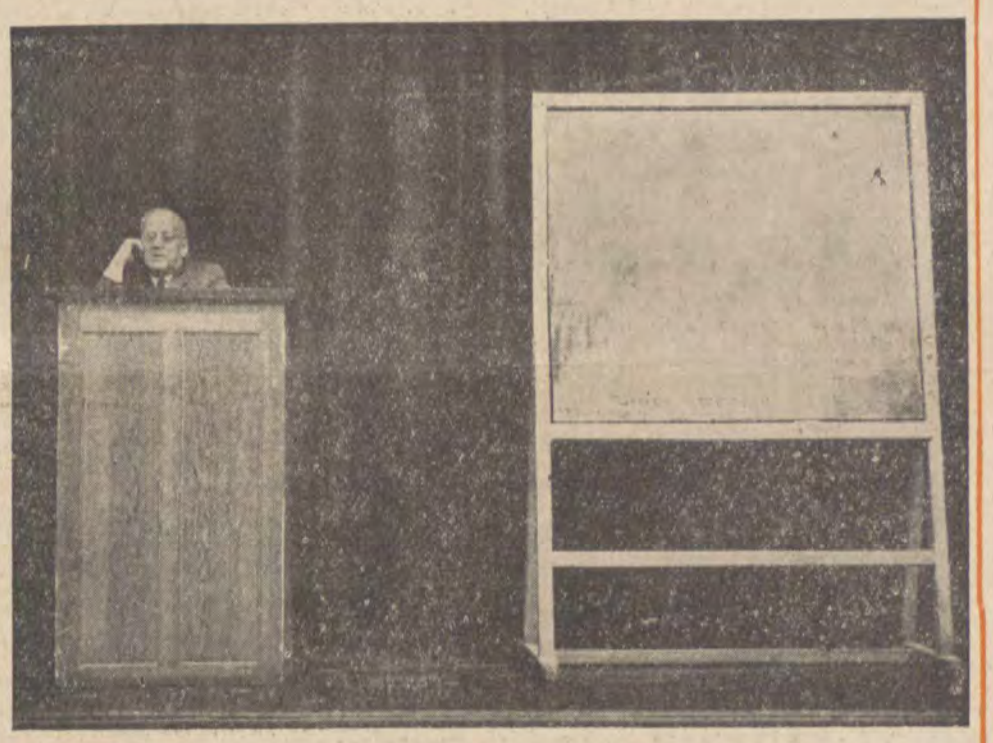

„Pierwszy wykład".

Fot. M. Menzel

czego niezbędne jest 70 wywrotek ziemi. Wydział Drogowy miał to załatwić. Przecież tyle ziemi wywozi się w różne niedozwolone miejsca... Więc zmobilizowano mieszkańców na niedzielę. Czekali do wieczora. Z zaplanowanych 70 przyszły dwie wywrotki, a w urzędzie udzielono nieoficjalnej informacji, że „nie miał kto dać kierowcom po 20 zł".

„Przecież my dajemy naszą pracę bezpłatnie" — dziwią się mieszkańcy. I pomyśleli sobie, że skoro tej ziemi nie mogą dostać, zajmą się wodociągiem. Po pięciu latach starań, próśb, pieczątek, odmów, monitów i petycji pozwolono im kopać. Wykopali. A potem wkroczył ten, do którego ta robota należy. I przywiózł rury różnych rozmiarów. „Ja się na tym nie znam, bo jestem kobietą. Ale mi się zdaje, że skoro się takie rury przywozi, to koniec jednej powinien się wkręcać w w koniec drugiej". A kiedy się i z tym uporano, brakło fachowca, który by to poskręcał. Wszystko jest gotowe. Wykopane rowy, przygotowane rury. Brak tylko tego opatrznościowego człowieka, który by umiał obetkać to pakułami z minią i poskręcać. Więc deszcze zamulają dno rowu, a ludzie po 5 km wożą wodę wózeczkami.

Domy przy ul. Podmiejskiej chronicznie cierpią na przeciek dachów i niemoc pieców pokojowych. Kiedy wysłano w tej sprawie pierwszą tonę papieru ADM doszło do wniosku, że czas działać. Zleciła więc wykonanie prac Zakładowi Remontowemu przy dyrekcji MZBM-Górna. Ale po upływie kilku miesięcy okazało się, że Zakład „nie ma mocy produkcyjnej", a zlecenie przyjęli, bo... myśleli, że to kompot. W tej sytuacji ADM błyskawicznie zmieniła decyzję i już w następnym roku zleciła roboty MPRB nr 6. W tym zaś czasie (a czas w dzielnicy Górna jest — jak widać — towarem niereglamentowanym) przewodniczący komitetu blokowego, p. Sobierajski zorganizował prace społeczne w dziedzinie bardziej dostępnej inicjatywie chętnych niż naprawa pieców i dachów. Mianowicie zamienili podwórko w mały, zielono-kolorowy park. Rozumowali zaś tak: my tu zrobimy dookoła to, do zrobienia czego mamy społeczny obowiązek, a nam za to zrobią to, co nam się należy — prawdę mówiąc — bez żadnej łaski. Ale rachuby zawiodły. Są bowiem koła biurokratów na średnim szczeblu, które nie znoszą ludzi pracujących społecznie. Odstraszają ich od biurek i okienek, jak odstraszają każdego petenta. Ale różnica jest ta, że na zabiegającego o remont własnego okna można huknąć znad szklanki z herbatą: „Obywatel myśli, że obywatel tu jeden?", natomiast społecznicy „odszczekują się", interweniują i nierzadko znajdują zrozumienie w prasie i radio.

Toteż do wielu drzwi stukali mieszkańcy ulicy Podmiejskiej zanim im jakoś te dachy połatano. Działo się to z 5 lat temu. Żeby zaś było ciekawiej, roboty wykonano w grudniu, w czasie przymrozków. Toteż następnej wiosny mieszkańcy 3 piętra znów porozstawiali balie, kotły, garnki i miski i słuchali rzewnej melodii skapujących z sufitu kropelek. Ostatnio udało się skłonić administrację i MZBM do naprawy jednego z czterech dachów. Ale pracę tę wykonano znów z nadejściem zimy.

Jeszcze barwniej przedstawia się historia remontu pieców. Trwa ona od lat. A dwa lata temu zanosiło się na to, że ziszczą się te tak przecież skromne marzenia o cieple we własnym domu. Kiedy ludzie marzą o samochodzie, taniej kiełbasie, wyjeździe za granicę czy nie psującym się telewizorze, to na drodze do ziszczenia się tych marzeń piętrzą się takie pojęcia, jak kooperacja, import, eksport, wskaźniki, taryfikatory, surowce, fundusz płac. A tu — zdawałoby się — kupka piasku i trochę gliny, a to też problem dla gospodarzy dzielnicy Górna i innych dzielnic. Wyglądało więc na to, że marzenia się ziszczą. Wtedy gospodarski zmysł podszepnął mieszkańcom, aby te piece samym rozebrać, to zdunom ułatwi zadanie i ci je tylko ustawią. Ta szczęśliwa i na pozór logiczna myśl sprawiła, że zostali na zimę bez pieców, gdyż MPRB nr 6 grupa robót nr 2 przysłała w maju dwóch zdunów, ale zaraz zostali zwolnieni. W lipcu zjawiło się trzech, z których: pierwszy został zwolniony dyscyplinarnie, drugi zachorował, a cała praca spadła na trzeciego, który był kulawy. Co więcej — w tym samym czasie MPRB zatrudniało zdunów na robotach ziemnych, gdyż... nie miało dla nich zajęcia. W tych absurdalnych sprawach pisano dziesiątki listów do dyrektora MZBM, a dyrektor na nie nie odpowiadał. I oto dochodzimy do momentu w artykule tym kulminacyjnego. Działacze społeczni, którzy **nie w osobistym interesie** zabiegali o te remonty, użalili się komisji radnych. **Ta się zebrała i podjęła decyzję, że MZBM odpowie na owe pisma w ciągu dwóch tygodni.**

Można chwalić komisję radnych za powzięcie takiej decyzji, można się jej dziwić. Natomiast niepokojący, jeżeli nie zatrważający jest fakt, że o podobnym dziwolągu, jak decyzja radnych w elementarnej sprawie, ludzie mówią jak o czymś normalnym, co sprawę wyjaśnia i coś załatwia. Oto parę przykładów jaśniej odnoszących pewne sytuacje z naszego życia do owej anegdoty o wylaniu zupy na głowę.

Przy ulicy Rybnej 21 od sześciu lat zawartość kloaki rozlewa się na podwórko tej i sąsiedniej posesji. Wyjaśnienie: dotąd tego nie załatwiono, bo w ADM nr 7 przy ul. Zachodniej 25/27 kilka razy zmieniał się kierownik. W innym domu przy tejże ulicy Rybnej od lat nie naprawia się dziurawego dachu. Wyjaśnienie: bo dach jest nietypowy. Łódzkie Przedsiębiorstwo Budownictwa Mieszkaniowego nr 3 podjęło się budowy 60 garaży na Dołach. Garaże wzniesiono bez pośpiechu wczesnym latem, a do zimy, pluchy i mrozów samochodów do nich nie wpuszczono. Jedno z wyjaśnień: brakowało śrubek do skobli; owszem, były do nabycia, ale w takim sklepie, w którym to przedsiębiorstwo nie może kupować. Kierowcy samochodów ciężarowych zabijają (w wypadkach) ludzi na drogach. Wyjaśnienie: w bazach brak części zapasowych i ogumienia. Mieszkańcy domów przy Podmiejskiej 16 zostali na zimę bez pieców. Wyjaśnienie: grupa robót nr 2 przy MPRB nr 6 nie ma mocy produkcyjnej. Dlaczego pan sobie wylał zupę na głowę? Wyjaśnienie: bo myślałem, że to kompot.

Było kiedyś modne hasło: nie dajmy się zwariować! Czyżby nie znalazło oddźwięku?

A ludzie, których nurtuje pasja społecznej działalności, nie szukają odpowiedzi na to pytanie. Znaczną część swoich wysiłków z góry spisują na straty spowodowane przez wałkoni i nieżyczliwych urzędasów, a ta część ich pracy, która nie idzie na marne, wciąż przysparza bogactwa miastu. Gdyby im pomóc w tych wysiłkach, tzn. gdyby nie musieli trwonić czas i energię na bezsensowną walkę z zarządami, administracjami, kierownikami, efekt tych wysiłków byłby zdumiewająco wielki.

O poezji patriotycznej

Rozmowa z Marianem Piechalem

Z inicjatywy Korespondencyjnego Klubu Młodych Pisarzy „Wiadukt" i Rady Okręgowej Zrzeszenia Studentów Polskich w Łodzi rozpisano, pod patronatem Przewodniczącego PRN m. Łodzi, Głównego Zarządu Politycznego Wojska Polskiego oraz Wydawnictwa MON konkurs na wiersz o tematyce patriotycznej. „Odgłosy" zwróciły się do przewodniczącego sądu konkursowego, Mariana Piechala (w jury zasiadali prócz tego m. in. Tadeusz Chróścielewski i Jerzy Kossak) o rozmowę na temat problematyki związanej z tym konkursem, jak również informację o jego rezultatach.

* * *

„ODGŁOSY": Poezja patriotyczna ma w Polsce ogromną tradycję. Prosimy o jej najogólniejszą charakterystykę.

MARIAN PIECHAL: Wskutek szczególnych dziejów narodu polskiego, który przez całe okresy historyczne znajdował się w stanie zagrożenia, poezja patriotyczna odgrywała w naszej literaturze rolę wiodącą. Utrata niepodległości, fala powstań narodowo-wyzwoleńczych ożywiły jeszcze ten nurt literacki, który w dobie romantyzmu osiągnął swoje artystyczne szczyty. Poezja ta nawoływała do walki, stąd jej nuta heroiczna. Jednocześnie jednak w utworach naszych najwybitniejszych poetów wiele mówi się o mankamentach narodowych, bo twórczość ta stanowiła rodzaj katharsis.

„ODGŁOSY": Jak widzi Pan tę poezję na tle innych, narodowych poezji europejskich?

MARIAN PIECHAL: Polska poezja patriotyczna ma swoją specyfikę. Nasza literatura miała zawsze wymowę internacjonalistyczną. W innych literaturach o wiele częściej spotkać można elementy nacjonalistyczne, poezja jest niekiedy apologią wielkomocarstwowości, tężyzny narodowej, słychać w niej ambicje podbojów.

„ODGŁOSY": Jakie utwory naszej literatury uważa Pan za szczególnie interesujące przykłady poezji patriotycznej?

MARIAN PIECHAL: Na ten temat można by napisać całą rozprawę. Bo już w „Odprawie posłów greckich" Kochanowskiego znaleźć można akcenty tego, co nazywa się obywatelskością, a więc zbliża się do współczesnego, bardzo nam bliskiego pojęcia patriotyzmu w literaturze. U Mickiewicza i Słowackiego wręcz trudno spotkać utwory nurtu innego niż patriotyczny. To samo dotyczy Norwida. A przy tym Norwid genialnie zauważa, że być narodowym to być nadnarodowym.

„ODGŁOSY": Kompleks spraw, które Pan tutaj przypomniał, mówi dostatecznie wiele o trudnościach i niebezpieczeństwach rozpisania konkursu na wiersz patriotyczny...

MARIAN PIECHAL: Na tym tle inicjatywa urządzenia konkursu wydaje mi się szczególnie piękna. Dziś patriotyzm jest pojęciem całkowicie wolnym od nacjonalizmu, jest ono internacjonalistyczne w swojej wymowie. Budujemy nowe pojęcie narodu pamiętając o przynależności do gromady ludzkiej na całym świecie. Konkurs pozwolił na zorientowanie się, jak młodzież literacka pojmuje ideę patriotyzmu dostarczając ciekawego obrazu natury socjologicznej i artystycznej.

„ODGŁOSY": Jakże wypadł ten obraz z socjologicznego punktu widzenia...?

MARIAN PIECHAL: Trzeba powiedzieć, że młodzież literacką charakteryzuje dość skromne zrozumienie idei patriotyzmu w jego kształcie nowoczesnym, zrośniętym z naszymi czasami. W konkursowych utworach pobrzmiewają pogłosy romantyczne, są one także najczęściej heroiczne. Młodzi sięgają do wojny, opiewają walkę z faszyzmem o niepodległość, nie wiążąc jednak tej walki z nowym modelem społecznym. A patriotyzmu nie można przecież utożsamiać tylko z żołnierzem i jego walką. Ujawnił się także brak znajomości najnowszych dziejów Polski. Jeden z autorów napisał: „W trzydziestym dziewiątym sztandar wolności podjęła PPR", choć partia powstała dopiero w roku 1942.

„ODGŁOSY": Jak Pan ocenia rezultaty artystyczne tego konkursu?

MARIAN PIECHAL: Rezultaty artystyczne są dość przeciętne. Nadesłano wiersze poprawne, ale nie było wśród nich takich, które by szczególnie zachwyciły. Rola jury była więc dość trudna, tym bardziej że napłynął cały potok wierszy, kilkaset, z czego wyselekcjonowano ponad 80 jako możliwych do oceny. Mam tutaj protokół, mogę więc zaprezentować laureatów. I nagrodę uzyskał wiersz „Tu" Zbigniewa Barczaka z Wrocławia, II nagrodę wiersz „Polska" Rafała Orlewskiego, dwie III nagrody wiersz Zenona Dunajczyka z Pabianic „Żołnierzowi na podarowanie Warszawy" i Andrzeja Jastrzębca-Kozłowskiego z Warszawy „Twarz". Przyznano też kilka wyróżnień, które otrzymały wiersze Wł. Huzika, W. Handzlik i Cz. Kuriaty. Nagrodę specjalną Szefa Głównego Zarządu Politycznego Wojska Polskiego otrzymała Teresa Gabrysiewicz z Tomaszowa.

„ODGŁOSY": Jak Pan ocenia znaczenie tego konkursu?

MARIAN PIECHAL: Myślę, że konkurs warto w przyszłości powtórzyć. Bo jestem przekonany, że w następnych próbach wyklaruje się pojęcie patriotyzmu połączonego z obywatelskością. To zresztą duża szansa dla młodej literatury, która często odczłowieczona już w momencie powstania porasta średniowieczną patyną.

ROZMOWĘ PRZEPROWADZIŁ:
KONRAD FREJDLICH:

I NAGRODA

ZBIGNIEW BARCZAK

TU

(PAMIĘCI)

topole topole
i wiatrem okryte pola

tu się powracało
z radości płacząc
przez zasieki kolczaste
z karabinem w dłoniach

drzwi swego domu
kolbą wyważać —
nie ostygła nam jeszcze pamięć...

tu uczyłem się pierwszych
wolności liter
i wiary —

ojczyzno moja
twierdzo
serc naszych
ziemio obiecana
w bliznach w bandażach.

tu mieczykiem świergotu
skowronek spod obłoku
dzień jak księgę otwiera

i w pejzażu rodzinnym
sosny dymów fabrycznych
rosną coraz wyżej

tu pagórki i wzgórza
i kość ludzka spod pługa
może ojca — nie wiem:

poległ bezimiennie...

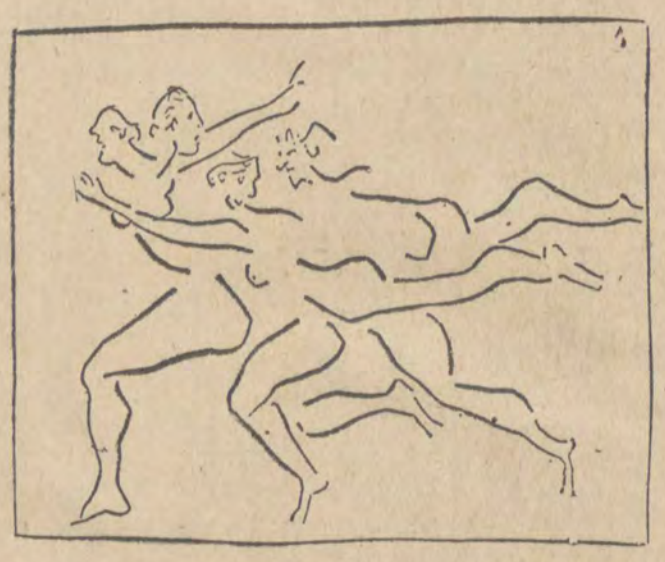

Rys. P. Picasso

II NAGRODA

RAFAŁ ORLEWSKI

POLSKA

Któraś jest
w dziobie dzięcioła południem
gdy dziecko ćwierka
do rąk matki żniwnych
a drzewo przeczuwa
narodziny burzy —

Któraś jest
zmierzchem w krowich pyskach
nad wodopojem
wojskiem w pniach dębów
błyskawicą w ścianie węgla —

Któraś jest
arką o tysiącu wioseł
z białym ptakiem przy sterze —

Zadyszany
chylę nad tobą
pieśni niedożęte

Witkacy w Łodzi

Dalszy ciąg ze str. 1

konstrukcji dramatu. A — jak się wydaje — ze wszystkich zaginionych sztuk tej właśnie szczególnie można żałować. Napisana w listopadzie 1924 roku, „Persy Zwierżontkowskaja" zajmuje bowiem dość ważne miejsce w rozwoju twórczości S. I. Witkiewicza. W jego dorobku znajdują się już wówczas najważniejsze prace teoretyczno-estetyczne („Nowe formy w malarstwie", „Szkice estetyczne", „Teatr") oraz większość utworów dramatycznych, z których kilka przeszło próbę sceny. Wkrótce jednak zmieni on zasadniczy nurt swych zainteresowań artystycznych — porzuci te te dwie dziedziny twórczości, w których, jego zdaniem, możliwa była jeszcze realizacja Czystej Formy: w malarstwie ograniczy się zatem tylko do portretu, ale traktować go będzie jako formę sztuki użytkowej, pozbawionej większych walorów artystycznych, dramat natomiast zdradzi na rzecz powieści (tworząc notabene teorię, że powieść nie może być dziełem Czystej Formy). „Persy Zwierżontkowskaja" zamyka poniekąd ten pierwszy okres twórczości Witkacego. Po niej ze znanych nam sztuk powstała tylko „Sonata Belzebuba", którą uznać można ze utwór auto-parodystyczny, wyśmiewający założenia formalne teatru Czystej Formy i dopiero w parę lat później napisze Witkiewicz „Szewców". Sam zresztą w r. 1927 — właśnie z okazji premiery łódzkiej, przyzna: „Od dłuższego czasu nie napisałem nic na scenę takiego, co by mnie zadowoliło i myślę, że na razie jestem wyczerpany". „Persy Zwierżontkowskaja" była więc utworem sumującym w jakiejś mierze dotychczasowe doświadczenia dramaturgiczne i sceniczne, ale zarazem zapowiadała już problematykę późniejszych utworów. Jej łódzką inscenizację Witkiewicz określił jako „najlepsze przedstawienie mojej sztuki w moim znaczeniu", a sądy niektórych recenzentów pozwalają mniemać, że dzięki swej tematyce była to jedna z ciekawszych sztuk Witkacego.

* * *

Witkacy, jak zwykle obecny na premierze swej sztuki, w wywiadzie dla „Republiki" ocenił spektakl bardzo wysoko: „Z przedstawienia **Persy Zwierżontkowskiej** jestem niesłychanie zadowolony. Wystawa, dekoracje, reżyseria i gra były prawie bez zarzutu". A krytycy? W swych reakcjach recenzenci łódzcy niewiele się różnią od krytyków warszawskich, krakowskich czy lwowskich, omawiających inscenizacje „Pragmatystów", „Tumora Mózgowicza", „Kurki Wodnej", „W małym dworku", Dominuje ton drwiny, szyderstwa, gniewu, oburzenia lub lekceważenia, a ocena ustępuje miejsca obelgom oraz insynuacjom pod adresem autora. Wśród głosów potępiających Witkacego, najbardziej gwałtowny należy do W. Wandurskiego, ale w napaści na autora dzielnie sekundują mu inni recenzenci. Po stronie Witkacego stanęła tylko „Republika". Jej redaktor C. Ołtaszewski ogłosił większy szkic o utworze, a recenzenci A. Górski i A. Nullus próbowali zanalizować problematykę sztuki oraz szerzej omówić jej sceniczną realizację.

Oddajmy zresztą głos samym krytykom:

W. Wandurski (w „Dźwigni"). „Persy Zwierżontkowskaja" St. Ign. Witkiewicza powtórzyła raz jeszcze wszystkie wymęczone kombinacje „czystej formy w teatrze". (...) W nowej sztuce jego mamy tę samą wywodzącą się z prostej linii od maciwody Micińskiego „filasofję" metafizycznych niedosytów, podsmażanych na margarynie „perwersji" krakowskich i zakopiańskich demonów i demonic, to samo panopticum niby-egzotyczne, tych samych niby-tragicznych manekinów, wywijających się w rzekomym wysiłku z rzekomej indywidualności wokół własnego „hiper-pępka". (...) Z rozpaczą widz oglądać musi wszystkie egzotyczności i anachronizmy w pocie czoła zmyślone i za ogon wywleczone na scenę... Aż wreszcie robi się przykro i niesamowicie. Widz wyczuwa, że obecnością swoją popełnia nietakt wobec autora, który w bolesny i bezsilny sposób wygłupia się przed nim — niby to drażniąc „zdrowy sens" i potrzebę „wstrząsów bebechowych" widza — de facto zaś zanudzając go śmiertelnie jałowością i impotencją swych „ekstrawagancji". Bo jeżeli jest jakiś dramat w pozbawionych nerwu dramatycznego sztukach Witkiewicza, chaotycznie zlepionych z elementów tandetnych, nie zazębiających się wzajemnie i nie zahaczających o wrażliwość widza — to chyba tylko dramat osobisty autora".

A. Nullus (w „Ilustrowanej Republice"): „Ostatnia sztuka Witkiewicza posiada wszystkie cechy charakteryzujące tego niezwykle ciekawego dramaturga, poszukującego nowych dróg rozwiązań problemów teatru. Więc jest na wskroś mózgowa, obraca się w sferze rozważań czysto filozoficznych zagadnień życia, operuje symbolicznym nastawieniem figur i realnością tła, egzotyzmem środowiska, ale w gruncie rzeczy zarysowuje mocno potoczyście płynącą akcję i rozwój wydarzeń opiera na twardym gruncie logiki. Duża umiejętność operowania zarówno całokształtem akcji, jak poszczególnych sytuacji scenicznych i efektów czyni zeń bezsprzecznie rasowego dramaturga, który umie się poruszać na scenie i zupełnie świadomie wybiera te, a nie inne formy realizacji scenicznej".

„Głos Polski" (recenzent podpisany jako Was.): „Daremnie siliłby się ktoś zrozumieć, dlaczego dyrekcja teatru wystawiła tę „sztukę". Jest ona bowiem w idealny sposób wyprana ze wszystkiego, co kwalifikuje utwór sceniczny do publicznej demonstracji. Treści i intrygi nie ma ani śladu. Jeśli chodzi o ideę, o myśl przewodnią, to są majaczenia wariata na tematy pozornie filozoficzne, a w gruncie rzeczy nieuchwytne. Forma urąga wszystkiemu, co zwykło się za teatr uważać, a chociażby podejrzewać. Jezyk wreszcie jest obrzydliwym nagromadzeniem określeń filozoficznych obcego pochodzenia, powtarzanych w kółko w rozmaitych kombinacjach i przypadkach, aż do utraty cierpliwości i rozsądku. Całość robi takie wrażenie, jak walenie w głowę kastanietami przez kilka godzin z rzędu. Po drugim akcie widz ma wrażenie, że autor jest wariatem, po trzecim — ma już pewność".

„Ilustrowana Republika" (autor anonimowy): „Persy Zwierżontkowskaja nie jest sztuką normalną w znaczeniu zwykłym. Niesamowite, fantastyczne, irrealne tło wkracza w dziedzinę chorej wyobraźni. Zagadnienia filozofii społecznej, zagadnienia istotne, światowej miary, ujęte są pod kątem umysłowej demencji, przynajmniej pozornie. Po dwóch aktach widz dochodzi do wniosku, że autor jest wariatem. W trzecim okazuje się, iż jest to nieprawda: Witkiewicz rozwiązuje sztukę logicznie, konsekwentnie i realnie. Budowa sztuki znakomita z punktu widzenia formalnie-sceniczne go".

„Zastępca" (w „Rozwoju"): „Czyż podobne ogłupienie publiczności byłoby przed wojną do pomyślenia? Czyż w pierwszej lepszej budzie na polu Ujazdowskim podobne „osobliwości" nie spotkałyby się z żywym i zdrowym odruchem sprzeciwu? I żeby p. Witkiewicz w swej „Persy Zwierżontkowskiej" dał coś z siebie prócz kpin, gdyby dał wizję czy majaki chociażby chorego, ale genialnego mózgu. Ale gdzież tam, autor ciągnie za łeb od Maurycego Decobry i Ilji Erenburga do Einsteina i Woronowa włącznie, wszystko, co połapał, pozbierał i gdziekolwiek wyczytał i usłyszał, a zlepiwszy to wszystko razem śliną Demianów Biednych w pecynę bolszewicko cuchnących aforyzmów, ciska w twarz publiczności jako swój problem — zagadnienia bezosobowości i zatraty indywidualizmu".

C. Ołtaszewski (w „Ilustrowanej Republice"): „Persy jest sztuką irrealną. Można zrozumieć ją, zrozumieć zu-

WIESŁAW JAŻDŻYŃSKI

Pięć śmiechów głównych*)

Pod takim właśnie tytułem pięciu satyryków wydało tomik zbiorowy nakładem Wydawnictwa Łódzkiego. Śmiechów z pewnością znajdziemy pięć, gdyż wybór obejmuje twórczość pięciu pisarzy, czy jednak są to śmiechy główne — miałbym pewne wątpliwości. Nim się jednak z tych wątpliwości zwierzę — kilka słów pochwalnych.

Autorów rekomendować nie trzeba — Afanasjew, Kononowicz, Safrin, Słobodnik i mistrz Jan Sztaudynger — te nazwiska mówią same za siebie. Dodałbym jeszcze jedno nazwisko, a mianowicie redaktora zbioru — Tadeusza Chróścielewskiego, który zgrabnie ten tom zestawił, jeżeli brać pod uwagę rodzaje formalne. Groteskowe, nadrealistyczne listy, fraszka, bajka, wiersz satyryczny, dowcipne mikrotragedie — wachlarz rodzajów bogaty, a nawet nieco zaskakujący. Mistrz Sztaudynger, choć jak zawsze wierny w swojej chęci do kobiet, nie prezentuje tym razem swobodnych fraszek, lecz pięknie pisane, kulturalne i nie pozbawione pewnej filozoficznej głębi, dowcipne mikrotragedie. Natomiast poważny dotąd Maciej J. Kononowicz swawoli w swoich fraszkach aż miło.

Przyznam wszakże, że najbardziej przypadły mi do gustu bajki Horacego Safrina. Niełatwo pisać bajki alegoryczne po La Fontaine, Mickiewiczu i wielu innych, nielawo w tej tak już bardzo wypróbowanej konwencji powiedzieć coś nowego. Przecież jednak Safrinowi udaje się owe niejako wieczne wątki, zawierające w sobie określone cechy lwa, lisa, kruka, czy zająca, odnieść do norm moralnych obowiązujących i dzisiaj, a więc zaktualizować je. Pod tym względem bajka o kruku i lisie jest wprost znakomita, a co więcej odsłania jeszcze jedną prawdę — nie ma w satyrze zwietrzałych wątków, a może i konwencji, jeżeli autor wciąż odświeża swój stosunek do świata.

Wydaje mi się natomiast, że w satyrach Włodzimierza Słobodnika, a i niektórych fraszkach Józefa M. Kononowicza tej świeżości trochę jakby brakuje. Obaj panowie straszliwie pastwią się nad kobietą, powiedziałbym nawet — powtarzają się dzięki temu monotematycznemu kierunkowi ich satyrycznych zainteresowań, choć przecież znamy obu ze znacznie szerszych zainteresowań. Jeśli dodać, że i mistrz Jan Sztaudynger także demaskuje kobietę — pewne zwężenie poruszanych spraw przez autorów tomu nie ulega wątpliwości. Być może jest to kwestia wyboru, a może nawet świadome zamierzenie. Jeżeli tak, to trudno nazwać te śmiechy głównymi, raczej — ubocznymi.

Osobny rozdział stanowią przekomiczne, pełne niezwykłych pomysłów, listy Afanasjewa do „Przekroju". Jest to w założeniu tzw. czysty nonsens, a skoro tak, mniej pytamy o jego relacje z bieżącym życiem, bawimy się bardzo dobrze grą słów, przedziwnymi skojarzeniami, chwalimy dobry, sprawny warsztat no, ale uwaga o „uboczności" tej satyry na wadze nie traci, przeciwnie — zyskuje.

Słobodnik pisze następującą fraszkę o śmiałym satyryku:

„W swojej satyrze stwierdził
bardzo śmiało,
Że się zamiata ulice za mało."

Właśnie, właśnie, za mało i może nie tyle oczyszczania ulic za mało, ile innych dziedzin naszego obyczajowego, a nawet i politycznego życia na tym nie najlepszym ze światów.

Tom „Pięć śmiechów głównych" jest, i owszem, bardzo kulturalny, może nieco większa selekcja materiału przydałaby się w tekstach Słobodnika i Kononowicza, powiadam jednak raz jeszcze — kulturalny, sprawny warsztatowo tom. Ale letni, łagodny, wąski w zakresie poruszanych spraw, prowadzący czytelnika na ubocze, brak w nim pasji, czy też może lepiej będzie powiedzieć — siły uderzeniowej. Jest to raczej dobra powtórka pilnych uczniów, boć przecież zdaje nam się, że to wszystko już skądś znamy, czytaliśmy gdzieś — niż tom wnoszący jakieś nowe propozycje do naszej satyry. Oczywiście, dobre i to, oczywiście — nie jest to sprawa naszych pięciu autorów, ale — jak sądzę — wynik sytuacji, w jakiej znalazła się nasza twórczość satyryczna.

---

* „Pięć śmiechów głównych" — Jerzy Afanasjew, Maciej J. Kononowicz, Włodzimierz Słobodnik, Horacy Safrin, Jan Sztaudynger. Wydawnictwo Łódzkie, grudzień 1967.

Tele-obiektyw

Wielomilionowe monstrum

W powieściach kryminalnych wysiłek autora skierowany jest zwykle na to, by zaskoczyć czytelnika. W tym celu pisarz każe większej ilości bohaterów swej książki zachowywać się co najmniej dziwnie i dwuznacznie. Jedyna osoba wolna od wszelkich podejrzeń jest właściwy zabójca. W ten sposób kult zaskoczenia góruje nad logiką.

Istnieją analogicznie krytycy i eseiści, którzy ze skóry wyłażą, żeby tylko zastrzelić opinię oryginalnością swojego sądu. Odnosi się w stosunku do nich wrażenie, że bardziej zależy im na odmienności niż na trafności własnych poglądów.

W listopadowym numerze „Miesięcznika Literackiego" zamieszczono rozmowę na tematy telewizyjne ze znanym felietonistą i autorem popularnej audycji cyklicznej w TV, a zarazem wyznawcą metody zaskoczenia. Tym chyba właśnie ciągotom przypisać należy, że do rozmowy, obok wielu ciekawych myśli, wkradły się tezy bałamutne, obliczone na epatowanie czytelnika.

Poczytajmy:

„...dla bardzo wielu ludzi w naszym kraju ekran telewizyjny stał się pierwszym bardziej systematycznym kontaktem z teatrem, filmem, poezją, publicystyką społeczną itd. Niektórzy z tych ludzi rozsmakowali się w poszczególnych dziedzinach twórczości czy informacji i ich wymagania poczęły rosnąć, a gusty subtelnieć. To, co przekazuje telewizja, już im nie wystarcza, wydaje się niedodoskonałe. Zgłaszają więc postulaty, wypowiadają słowa krytyki, domagając się, aby telewizja sprostała ich wymaganiom. (Dotąd na wszystko zgoda, ale czytajmy dalej! — przyp. TO). Tymczasem często jest to nieosiągalne i nierealne. W pewnym momencie, przy określonym poziomie niezadowolenia np. z teatru telewizji, należy chodzić do prawdziwych, czyli normalnych teatrów, w pewnym punkcie niezadowolenia z repertuaru filmowego w telewizji należy zacząć chodzić do kina i dobierać sobie filmy według własnego gustu".

Cytowany rozmówca stwierdza dalej, że telewizja rozzuchwaliła lenistwo i konkluduje.

„Lubisz dobry teatr? — To go sobie poszukaj! Poszukaj także filmu dla siebie, książki dla siebie, czasopisma dla siebie. Telewizja nawet najlepsza nie może tego wszystkiego zastąpić, a człowiek, którego życie umysłowe byłoby całkowicie kształtowane przez telewizję, wydaje mi się przerażającym monstrum".

Zastanawiam się, w jakim procencie można się z tymi poglądami zgodzić. Wiele w nich jest słuszności, ale to właśnie pogłębia zamęt. Zacznijmy od tego, że nie każdy Polak zasiadający przed telewizorem i zżymający się na zły spektakl teatru TV może przekręcić gałkę, wyjść z domu i poszukać sobie lepszego teatru. Nawet w paradoksalnych wypowiedziach należy w jakimś stopniu trzymać się ziemi. Korzystanie z kina, biblioteki, czy księgarni jest w ośrodkach wiejskich i małomiasteczkowych utrudnione. Dla milionów już dzisiaj ludzi (stwierdza to niekonsekwentnie sam rozmówca „Miesięcznika Literackiego") telewizja stała się podstawowym pośrednikiem w obcowaniu z kultura, informacją, sztuką. Tego nie da się zmienić łatwymi receptami.

Parę słów na temat monstrum. Kiedyś zdarzyło mi się przysłuchiwać dyskusji na tematy teatralne w Klubie Inteligencji Wiejskiej pod Sieradzem. Raz po raz padały nazwiska Holoubka, Hanuszkiewicza, Świderskiego. Żywo dyskutujący ludzie znali tych artystów, oczywiście tylko z ekranu telewizyjnego, a mimo to nie dopatrzyłem się w tej formie obcowania ze sztuką cech monstrualnych.

Nieco inaczej wygląda sprawa w dużych ośrodkach miejskich, gdzie istnieje rzeczywiście wybór między oglądaniem telewizji a pójściem do teatru, czy kina. Ale i w tym wypadku nie wytrzymuje krytyki rada: „Lubisz dobry teatr? — To go sobie poszukaj!". Przed paru tygodniami „Głos Robotniczy" cytował list dziewczynki, której ojciec jest notorycznym pijakiem i awanturnikiem. Ale oto, pisze dziewczynka, gdy w sobotę jest w telewizji dobry film, to ojciec zostaje w domu, nie idzie na wódkę.

Nie upraszczajmy ani w jedną, ani w drugą stronę. Najlepszy nawet program telewizyjny nie rozwiąże skomplikowanych problemów społecznych i kulturalnych. Ale liczyć na to, że zły program telewizyjny każe ludziom rozejrzeć się za wartościowszą rozrywką kulturalną, to pogląd graniczący z naiwnością. Czy po każdej nieudanej pozycji w programie TV mamy zacierać z uciechą ręce i mówić sobie: „Świetnie. Aleśmy im dali łupnia! Teraz będą woleli chodzić do teatru albo do kina"?

Niebezpieczna jest chyba skłonność do lekceważenia widza telewizyjnego, traktowania go jako konsumenta kultury drugiej kategorii. Szczególnie niebezpieczna, że wywodzi się z kręgu autorów telewizyjnych. Nie można również próbować jak gdyby rozgrzeszać a priori wszystkich kiczów i chał, jakie zdarzy się nam oglądać w przyszłości w telewizji. Swoistej teorii, że „im gorzej, tym lepiej", nie da się traktować poważnie.

Nie chciałoby się doczekać społeczeństwa kształtowanego wyłącznie przez telewizję, ale rosnący wpływ jej jest faktem socjologicznym i kulturowym, nad którym nie ma powodu załamywać rąk.

Stąd wzrastające wymagania pod adresem telewizji są zdrowe i uzasadnione. Chcemy telewizji dobrej — mówi monstrual nie wielka, bo paromilionowa widownia. To wszystko.

Władysław Orłowski

POLETKO TELE—OBIEKTYWU

Nr 6

WÓZ ALBO PRZEWÓZ. Prasa łódzka zamieściła ostatnio agencyjną wiadomość, że nowy wóz telewizyjny wyprodukowany przez Warszawskie Zakłady Telewizyjne przydzielono Telewizji Gdańsk. Dziwne, że nikt z dziennikarzy łódzkich nie zwrócił uwagi na fakt, że w ten sposób Łódzki Ośrodek Telewizyjny jest ostatnim w kraju, który nie dysponuje w całości ani w części wozem transmisyjnym. Czy sprawa nie domaga się energicznej kampanii prasowej z naszej strony?

* * *

JĘZYKOWOŚĆ. Sympatyczna Chmurka, podobnie jak Wicherek, znacznie więcej uwagi poświęca prawidłowości prognoz niż poprawności języka. Żaden słownik języka polskiego nie zna słowa „przejezdność". Słowo to natomiast, prawdopodobnie, istnieje w biurokratycznym żargonie służby drogowej. Czy to dostateczny powód, by wprowadzać je na antenę telewizyjną?

* * *

ANACHRONIZM. PTO stoi na przestarzałym chyba stanowisku, że osoby występujące stale w telewizji powinny być obdarzone nienaganną dykcją. Czynniki programowe TV wolne są widać od tego rodzaju przesądów, o czym świadczy dobór współpracowników. Nie bacząc na to, PTO kontynuować będzie walkę z wiatrakami.

* * *

Piszcie do PTO!

W. O.

Spektakle tygodnia

	spektakli	widzów	proc.
TEATR WIELKI			
„Zemsta nietoperza"	1	1276	100
„Carmen"	2	2552	100
„Kniaź Igor"	2	2552	100
NOWY			
„Damy i huzary"	4	1600	60
„Trzy białe strzały"	5	3500	100
NOWY — Mała Sala			
„Skiz"	3	450	75
„Szklana menażeria"	3	300	50
JARACZA			
„Ogniem i mieczem"	3	1899	100
7,15			
„W czepku urodzona"	2	844	100
OPERETKA			
„Niedziela w Rzymie"	6	3870	60
FILHARMONIA			
koncerty symfoniczne	2	1100	90

pełnie i głęboko, gdy sobie człowiek zda sprawę, że jak konstruktywiczny obraz składa się ona z wielu płaszczyzn wzajemnie się przecinających, z wielu problemów głównych i dodatkowych, z których jedne są pełne, inne zarysowane, jedne rozwiązane, inne otwarte (...) Wiele jest tych płaszczyzn? Trudno powiedzieć. Zazębiają się, giną pojawiają, stapiają się w jedno, różniczkują, dają w rezultacie barwny, piękny mądry, artystycznie skończony amalgamat".

Jak widać — sztuka Witkacego została niemal zgodnie zaatakowana przez łódzką krytykę, często w sposób niewybredny. Za to sam spektakl wszyscy ocenili raczej pozytywnie. Chwalono reżysera M. Szpakiewicza, który pomimo, iż nie dokonał skreśleń w tekście, dał inscenizację przemyślaną w szczegółach, a koncepcję oparł „na umiejętnym, celowym, a jednocześnie dyskretnym podkreśleniu groteski". Pochwały zebrał K. Mackiewicz za „fantastyczne" dekoracje i za bogactwo pomysłów i efektów, dzięki którym była to „wystawa dekoracyjna, jakiej Łódź jeszcze nie oglądała". Podobały się także ilustracje muzyczne Z. Białostockiego, oparte na motywach jazzowych. Najwyżej jednak oceniono grę aktorów. Oczywiście krytycy niechętni Witkacemu nie omieszkali zaznaczyć, iż „artyści dowiedli, że w stosunku do dyrekcji są aniołami cierpliwości i tolerancji, zdolnymi do największych poświęceń", jeśli nie tylko nie odrzucili „tych steków bredni, które im jako role wręczono, ale odchodząc zapewne od zmysłów, nauczyli się owych banialuk i nadludzkimi wysiłkami starali się powiązać je i nadać im jakiś sens, którego nie rozumieli i rozumieć nie mogli". Zgodnie podkreślano, że największą kreację stworzył W. Krasnowiecki, który rolę Ujbazga Utamora przeprowadził „z poczuciem odpowiedzialności i zasobem niepospolitych środków aktorskich, zdobywając się na postać mocną, ciekawie postawioną, promieniującą siłą ekspresji i nieskazitelnością w wyrazie i geście" W trudnej roli tytułowej I. Horecka „wykazała wszystkie walory swego pięknego talentu": miała „kokocią bezmyślność, egzotykę zruszczonej Polki, nawykłej do gwardiejskich hulanek, a w ostatnim akcie zdobyła się na niepospolitą wnikliwość, czystość linii i patos mistycyzmu odosobowiającego się człowieka".

* * *

Publiczność łódzka okazała żywe zainteresowanie premierą — „teatr już dawno nie widział takich tłumów". Sprzedano bilety dla 402 osób i w tym sezonie tylko sztuki „Osiołkowi w żłoby dano" (występ gościnny Malickiej) i „Najdroższa moja Peg!" miały wyższą frekwencję. Większość widzów była jednak zaskoczona i zdezorientowana, opuszczając teatr mówiono najczęściej: „wszystko słyszeliśmy, wszystko widzieliśmy i nic nie zrozumieliśmy", ale były i brawa, gwizdano zaś „mało i tylko po trzecim akcie". Reakcja publiczności — czytamy w „Republice" — nie powinna jednak dziwić, ponieważ utwór jako „na wskroś filozoficzno-społeczny, trudny w sposobie uzewnętrzniania się i wypowiadania myśli, nie jest na ogół przystępny dla przeciętnego widza, staje się jednak bardzo ciekawy dla tych, którzy umieją myśleć i którzy chcą myśleć w teatrze".

Przedstawienie powtórzono tylko raz — 3 czerwca, w obecności 129 widzów. Być może pospieszna decyzja zdjęcia sztuki z afisza spowodował nieprzychylny stosunek krytyki oraz fakt, że w utworze dopatrzono się akcentów antypaństwowych i „demagogii bolszewizującej". Na scenę łódzką powrócił Witkacy dopiero 40 lat później premierą „Sonaty Belzebuba" w Teatrze Nowym. Miejmy nadzieję, że na następne spotkanie z tym dramaturgiem nie będziemy musieli czekać tak długo.

JANUSZ DEGLER

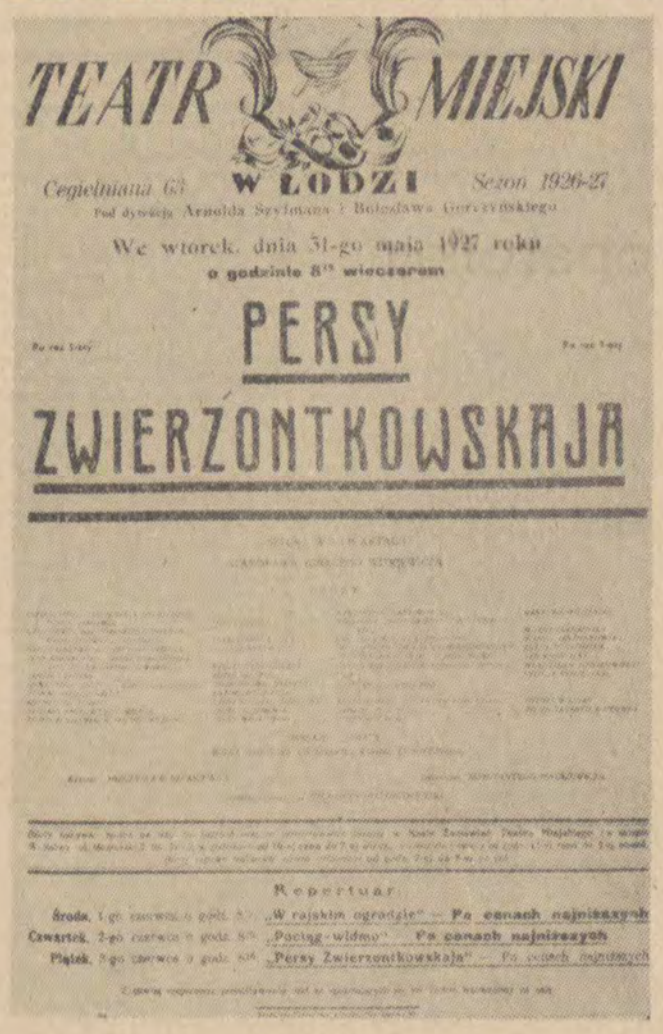

Afisz spektaklu „Persy Zwierżontkowskaja".

BEZ STRACHU

STARZY I MŁODZI

Przed dwudziestu laty uchodziłem za człowieka słusznego wzrostu, a w każdym razie dobrze średniego wzrostu. Obecnie staję się powoli osobnikiem małego wzrostu. Niegdyś większość spotykanych ludzi była niższa ode mnie — traktowałem ich zatem z dobrotliwym uśmiechem: „Nie obawiajcie się moi mali, wszystko w porządku". Dzisiaj brak mi już powodu do tego uśmiechu, żyję wśród tłumu nagle podrosłych młodych olbrzymów. Podobno młodzi osiągają wysoki wzrost dzięki stosowaniu antybiotyków w poszczególnych przypadkach chorób wieku dziecięcego, oraz dzięki roztropnie zażywanym witaminom. Tak czy inaczej w realnym społecznym aspekcie maleję z dnia na dzień i trudno mi ludzi młodych poklepywać po ramieniu, bowiem rozmawiając z nimi muszę zadzierać głowę. Kiedyś proszono mnie o opiekę nad czternastoletnim chłopcem — dryblasem większym niż jego matka. Sądziłem, że uraduję dziecinę opowiadając baśń — trudno mi opisać druzgocącą ironię na miarę Voltaira, z jaką została przyjęta ta propozycja. Zawstydzony usiadłem w kąciku, a olbrzym — malec powiedział, że powinienem przezwyciężać w sobie frustrację i opiekował się mną aż do momentu powrotu mamy, oszałamiając mnie biegle i zajmująco wygłaszanymi rewelacjami z dziedziny współczesnej techniki, strategii i sztuki wojskowej oraz medycyny, polityki i kosmonautyki. Bąknąłem nieśmiało, że w czasach mojego dzieciństwa bawiliśmy się w Indian, w odpowiedzi uzyskałem kompetentne wyjaśnienie na temat ekonomicznej przyczyny zagłady Indian. Chłopiec był także osobnikiem taktownym, gdy powróciła mama prosił, by częściej mnie zapraszała, gdyż bardzo zajmująco opowiadam o różnych nieznanych mu problemach. Przychodzę tam często i wiele w czasie tych seansów korzystam. Schlebiam młodym, słucham ich wyjaśnień nawet w kwestiach, w których jestem nieźle zorientowany, skwapliwie im przytakuję, proszę by wybaczyli mi moją starość.

Kiedyś nawiązał ze mną rozmowę dziewiętnastoletni student prawa. „Drogi Panie" powiedział „czytałem właśnie Pana książkę „Historia ucznia", otóż myślałem o niej jako prawnik, kreśliłem sobie sylwetkę moralno-obywatelską autora — otóż Pana rola, Pana oblicze etyczne i polityczne wzbudzają, jak wydaje mi się z tego materiału, poważne podejrzenia. Sam Pan pisze, że czyścił Pan buty pomocnikowi Nadkapy: „Nieprawda" zaskrzeczałem drżącym głosem. „Ja nie czyściłem butów, ja tylko myłem miski. Przyzna Pan, że miski i buty to zupełnie co innego". „No, w tym wypadku to prawie to samo — wysługiwał się Pan!". „Nieprawda, z misek się jada, miski i buty są, że tak powiem na innym poziomie. Ponadto to przecież — powieść, dlaczego uważa Pan fikcję za realne oświadczenie — tu nie chodzi o jednostkową prawdę, tu chodzi o syntetyczną prawdę epoki". „Gadu, gadu stary dziadu — całą Pana obronę można z łatwością obalić — oczywiście to powieść, ale powieść jak to z całego szeregu okoliczności wynika ilustrowana materiałem dokumentalnym. Jeżeli tam nawet nie ma dowodu winy autora, to są poważne poszlaki. Wie Pan, być może obiorę sobie temat pracy magisterskiej „Dowody przestępczej działalności Bernarda Sztajnerta zawarte w jego książkach". „Ach, wy, naukowcy" zawołałem służalczo. „Pomogę Panu chętnie, pisząc nowe książki, gdzie obnażę wszystkie swoje zbrodnie". „No" powiedział ostro. „Aby to nie poszło z fazy teoretycznej w fazę praktyczną — zamierzam drogi Panie zostać prokuratorem". Od tego dnia kłaniam się pierwszy dziewiętnastoletniemu „prokuratorowi". Chwała Bogu odpowiada jeszcze na moje ukłony, ale co będzie za kilka lat, gdy sporządzi akt oskarżenia. Doszczętnie zgrzybiały nie potrafię się już obronić, stanę w sądzie bezsilny, podparty kosturem. A może ułaskawią mnie z uwagi na bardzo podeszły wiek?! W każdym razie pragnę oświadczyć obecnie publicznie — młodzi mają rację, jestem z młodymi będę z nimi nawet, jeżeli oni będą przeciwko mnie.

BERNARD SZTAJNERT

MARIA KORNATOWSKA

HAJDA NA TURKÓW!

Właśnie z tego miejsca, blisko 558 lat temu, ruszały niezliczone pułki króla Władysława Jagiełły, na sławne, zwycięstwem polskiego oręża, pola Grunwaldu. Teraz ruszają stąd mniej może liczne, ale równie dzielne i duchem walecznym ożywione, chorągwie husarii, by pod wodzą hetmana wielkiego naszej kinematografii, imć Jerzego Hoffmana stanąć w chocimskiej potrzebie. Jak się już czytelnik zapewne domyśla, jesteśmy w Wolborzu, miejscowości ongiś świetnej i na całą Rzeczpospolitą znanej, dziś zaś jeno przez znakomitych naszych filmowców z ekipy „pana Wołodyjowskiego" do życia cudownie przywróconej.

Dzień mamy piękny, słoneczny, a mroźny. Nie wiem jak wyglądały wojska króla Jagiełły, ale pana-Hoffmanowe zastępy prezentują się wspaniale. Błyszczą w słońcu pancerze i szyszaki (niemal jak prawdziwe!), barwią się pyszne czapraki i skóry zwierzęce, lśnią proporce i sztandary. Konie ze stada ogierów w Bogusławicach stąpają dumnie a lekko, jak gdyby całe swe końskie życie spędzały wyłącznie przed kamerą. Miast tradycyjnej Bogurodzicy mężni woje nucą sobie pod nosem „W co się bawić" lub „Jesteśmy na wczasach, w tych góralskich lasach", zależnie od upodobań. Czasy się jednak zmieniają...

W błękitnej mgiełce gubi się obóz turecki, na którym połyskują prawdziwe półksiężyce. Husarskie chorągwie zajęły stanowiska na lekkim wzniesieniu. „Sam hetman jako słońce stał na czele wszystkich i wolą swoją tysiącami kierował". Z tubą przy ustach jegomość pan Hoffman rzuca rozkazy i ustawia swoje hufce w należytym ordynku. Sekunduje mu dzielnie pan Andrzej Osadziński, konsultant od spraw końskich, dyrektor Państwowego Stada Ogierów w Bogusławicach. Łacniej koniom zrozumieć komendy pana Osadzińskiego. Ten zaś, dawny oficer ułanów, czuje się w swoim żywiole. Jego baczne oko widzi każde potknięcie konia, każdą słabość jeźdźca, każdy nerwowy odruch płochliwego zwierzęcia.

Jerzy Szeski, jeden z najtęższych w Polsce znawców wojennego rzemiosła, odpowiedzialny za militaria „Pana Wołodyjowskiego", osobiście sprawdza szczegóły husarskiego stroju i uzbrojenia. A szczegółów tych wcale nie tak mało. Strój husarza składał się z osiemnastu części. Kłopotów z tym było co niemiara. Ale teraz wszystko jest jak należy, jakby sobie pan Sienkiewicz wymarzył. Hetman wielki Sobieski występuje we wspaniałej karacenie, a koń jego nosi pyszny czaprak z lwiej skóry (autentycznej!). Słynne skrzydła husarii, robiono je z piór orlich, sępich lub łabędzich, czynią wrażenie imponujące, nawet jeśli nie całkiem odpowiadają niegdysiejszym recepturom.

To najlepsza armia Europy — mówi z dumą reżyser. — Nic jej się nie mogło oprzeć. „Na kształt olbrzymiego ptaka zrywającego się leniwie do lotu" staczała się na nieprzyjaciół, miażdżąc ich impetem swego ataku. Husarz dysponował uzbrojeniem nader urozmaiconym: kopia, koncerz, szabla albo nadziak, czekan, niezawodna para pistoletów krzosowych (precyzyjniejszych ponoć od kowbojskich coltów) w olstrach. Wszystko to w ręku wytrawnego rycerza, doświadczonego „rzezacza" stanowiło oręż nie do pokonania. W „Panu Wołodyjowskim" husaria po raz pierwszy pojawi się na ekranie, przywodząc pamięć dawnej świetności Rzeczypospolitej.

Szarża husarii pod wodzą hetmana wielkiego koronnego Jana Sobieskiego (Mariusz Dmochowski) będzie sceną finałową filmu „Pan Wołodyjowski". Nastąpi ona, podobnie jak w powieści, bezpośrednio po pogrzebie pana Wołodyjowskiego. Bohaterska i tragiczna śmierć pana Michała, świadomego patrioty i obywatela, nie pójdzie na marne — mówi reżyser Jerzy Hoffman. Poruszy serca i sumienia szlachty. Ocknie się pogrążona w waśniach i niesnaskach Rzeczpospolita, dźwigając swą potęgę. Zadaniem sceny finałowej będzie zatem ukazanie całego majestatu Rzeczypospolitej, która pod buławą salvatora ojczyzny, Jana Sobieskiego, na pohybel Turkom powstała. Nie zobaczymy więc samej bitwy pod Chocimem, lecz niezmierzoną moc husarii idącej do ataku. W tych kilku ujęciach, kręconych w Wolborzu, mieści się tedy moralny i ideowy sens filmu. Na ekranie będzie to trwało ledwie kilka chwil, a ileż ogromnego trudu i wysiłku włożono w przygotowanie tej sceny, która teraz, w rzeczywistości, na tle skrzącego się śniegu i zimowego błękitu nieba, urzeka swą urodą i egzotyką.

Ponad 70-osobowy zespół ludzi pracował nad sporządzeniem wszelkich akcesoriów husarskiego rynsztunku. Blisko dwa miesiące trwało trenowanie koni nie nawykłych do tego rodzaju wystąpień i uprzęży. Niemało trudu kosztowało na przykład przyzwyczajenie koni do noszenia natylników, których dziś już się nie używa. Na jakie sposoby trzeba się było brać, by nie płoszyły się na widok skrzydeł, sztandarów, świateł reflektorów. Ileż razy mężni rycerze w zbroi lub bez, leżeli w śniegu zrzucani bezlitośnie przez czupurne ogiery.

Obraz filmowy powstaje z chaosu. I nie tak łatwo postronnemu obserwatorowi zorientować się w tym ogromnym zamieszaniu i tumulcie, pojąć jego sens. Ale to właśnie jest szczególnie fascynujące, choć czasem może wydać się absurdalne.

A ile jeszcze niespodzianek i niebezpieczeństw czyha na planie, choć na pozór wydaje się, że wszystko zostało zapięte na ostatni guzik. Przede wszystkim pogoda. Dni zdjęciowe w Wolborzu były wyjątkowo mroźne. W takich warunkach potrzebne jest specjalne przygotowanie kamery, gdyż jej mechanizm może po prostu zamarznąć. Wystarczy drobny, niemal niedostrzegalny płatek śniegu przylepiony do powierzchni obiektywu, żeby zniweczyć jakość obrazu. Na wszelki wypadek scenę finałową kręci się z dwóch kamer. Ryzyko jest jednak duże. Scena to rzeczywiście bardzo trudna. Wszystko zależy w niej nie tyle od ludzi, ile od koni. Mogą w ostatniej chwili zawieść, zbuntować się, mogą się spłoszyć. Czuwający nad całością reżyser jest niczym hetman na polu bitwy. Musi przewidzieć wszelkie możliwe niespodzianki, musi umieć podejmować decyzję błyskawicznie i niezawodnie, musi widzieć gdzie i kogo posłać w sukurs.

Dobiegają końca ostatnie przygotowania do zdjęć. Wszyscy są na miejscach. Operator i jego świta zajęli już swe bojowe stanowiska. Chorągwie husarskie stoją w przepisowym szyku. Las proporców błyszczy w słońcu. Łopocze na wietrze wielki sztandar hetmański z napisem „virtutis praemium". Script girl czeka na komendę reżysera. Za chwilę się zacznie. Pójdą w ruch kamery. Czy to co ujrzymy na ekranie będzie godną nagrodą owego męstwa, owych cnót, jakich nieustanne dowody dawać musiała ekipa filmowa? Czas pokaże.

O ileż łatwiej było panu Henrykowi ująć pióro w dłoń i mocą tylko własnej wyobraźni i wybornego talentu przekazać imaginacji czytelnika obraz niezapomniany i nie doścignionym językiem w kształt przyobleczony. „Ta ława gnających wichrem rumaków, żelaznych mężów, pochylonych kopii, miała w sobie coś z siły rozhukanego żywiołu. I szła jak burza, lub jak rozhukana fala, z łoskotem, z szumem. Ziemia jęczała pod jej ciężarem i było widoczne, że choćby nikt z nich kopią się nie złożył, choćby nikt szabli nie wydobył, samym swym rozpędem i wagą położą, zgniotą i stratują wszystko przed sobą, tak jak trąba powietrzna łamie i kładzie bór".

O FILMACH DOBRZE i ŹLE

„NAJWIĘKSZE WIDOWISKO ŚWIATA" Cecil De Milla przybywa do naszych kin z piętnastoletnim opóźnieniem, lecz nie ma to w istocie żadnego znaczenia, gdyż o jego wieku świadczy wyłącznie standardowy ekran i straszliwie jaskrawy Technicolor, którego mistrzowie Hollywood dziś już niechętnie używają. Reszta jest ponadczasowa, jeśli rzecz traktować w kategoriach hollywoodzkich gustów i sposobów werbowania do kin widzów.

„Największe widowisko świata" to przedostatni film nakręcony przez człowieka, który samym swym nazwiskiem niemal instytucjonalnie reprezentował to, co zwykliśmy kojarzyć z wielką fabryką światowych snów. Cecil De Mille związany z Hollywood od roku 1913 dla jego potrzeb zrealizował kilkadziesiąt filmów, firmując je w większości nie tylko jako reżyser, ale i producent. Jego przedsięwzięciom wiele ma do zawdzięczenia historia kinematograficznej super-gigantomanii i ten przeogromny potok filmów, które przenoszą strudzonych ludzi w świat wspaniałych marzeń o życiu, w którym wszystko dziać się musi cudownie i kończyć optymistycznie. W świecie filmów De Milla triumfował zawsze radośnie naiwny optymizm i sędziwy mistrz nigdy nie otwierał furtki, która pozwoliłaby na to, by jego piramida ułudy draśnięta choćby została przez intruzów ze świata realizmu. Według tej recepty spreparowane też zostało „największe widowisko świata", które samym swym tytułem wyraża niezachwianą pewność siebie i spokój mistrza De Milla. Uzbrojeni w tę świadomość jesteśmy nawet w stanie odsiedzieć przydzielone nam dwie i pół godziny i nie krzyczeć serio, że mamy do czynienia z „największym kiczem świata". Uczciwie przyznać musimy, że umiał De Mille realizować swoje recepty, że istotnie był mistrzem wielkiego filmowego widowiska, że nie lada umiejętności w swym rzemiośle posiadł, by umieć przygotować i sfilmować to wszystko, co w ciągu dwu i pół godzin na ekranie się dzieje.

Tym, co kochają cyrk i tym, co go nie trawią, pokazał De Mille jego wydanie znakomite. To już właściwie nie cyrk, to armia cała: akrobaci, klowni, tancerki, ekwilibryści, woltyżerki, tresery, konie, słonie, małpy — cała menażeria i do tego tony jedwabiu i aksamitu, świecidełek i piór rajskich ptaków, no i muzyka, śpiew i taniec. A wszystko to w klasie cyrkowej miary najwyższej. A dla tych co chcieliby, mimo wszystko na cyrk ten patrzeć nie mogąc, wyjść z kina, przygotował De Mille atrakcję dodatkową. W antraktach namotał tyle intryg i konfliktów, że chcąc niechcąc trzeba dosiedzieć do końca, by dowiedzieć się „kto z kim i dlaczego". Bo jest w tym filmie góra miłości, bez jednego notabene pocałunku nawet, i jest dramat szlachetnego a tragicznego bohatera, są wreszcie gangsterzy i dla amatorów wrażeń najmocniejszych najwspanialsza katastrofa kolejowa, jaką w kinie można obejrzeć, w wyniku której, o dziwo, nikt z całej cyrkowej armii nie zginie, a lwy spokojnie wrócą na powrót do klatek. Gromadząc te wszystkie atrakcje, pan De Mille na pewno nie oczekiwał jednego, iż mimo wszystko na jego supergigancie niektórzy widzowie nudzić się nieco będą. I nie pomoże na to nawet Oscar, którego „Największe widowisko świata" otrzymało. Oj, te Oscary!

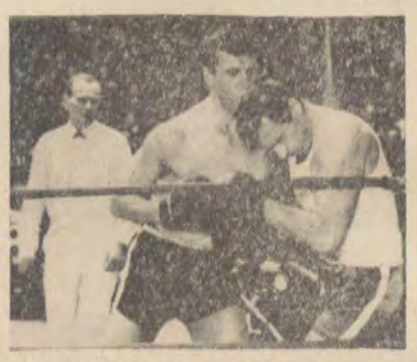

Co byśmy nie mówili o tym filmie nie grozi mu na pewno to, co przydarzyło się na naszych ekranach filmowi, któremu chcę dziś poświęcić parę serdecznych słów — czechosłowackiej „DAMIE Z TRAMWAJU". Choć trudno mnie posądzić o rzadkie bywanie w kinie, przy okazji tego filmu przytrafiła mi się niecodzienna historia, którą chcę podzielić się z czytelnikami kącika „O filmach...". Otóż stałam przed kasą kina, czekając na przynajmniej pięć osób, które zechciałyby wraz ze mną obejrzeć ten film. Dzięki trzem uczennicom, które wcześniej zwolniono ze szkoły i wszystkie inne filmy w Łodzi już obejrzały, seans ten doszedł do skutku. Dziwną krzywdę wyrządzamy pewnym filmom i kinematografiom. Nasi bracia zza górskiej miedzy w ciągu tylu już dziś lat filmów znakomitych nie zdołali kupić sobie jeszcze polskiej widowni. „Dama z tramwaju" L. Richmana to film, który na pewno nie zasługuje na to, by spotkało go takie przyjęcie jak w wyżej opisanym przypadku. Zapewniam uroczyście, że to dobra komedia muzyczna kontynuująca tradycje świetnych „Starców na chmielu", których również u nas nie doceniono. Osadzony w realiach naszej rzeczywistości film Richmana podejmuje stary jak świat problem równouprawnienia kobiet, których prawa kończą się w momencie, gdy wkraczają w progi własnego domu. Film wypełnia historia Kopciuszka w tramwajarskim mundurze, który się zbuntował. A że ów bunt rozegrał się w marzeniu, więc w efekcie mamy do czynienia z rzadkim przypadkiem komedii pesymistycznej. Nim jednak do tej smutnej pointy dotrzemy przeżywamy urocze perypetie Kopciuszka, który zmieniwszy szaty defilować będzie w blasku wszystkich akcesoriów tworzących piękno i urok kobiety, przeżywać będzie przygody, w których próbować będzie udowodnić swe równe męskim prawa. Ową tramwajarkę, która przeobrazi się w damę gra znakomita Jirzina Bohdalowa, nie bez kozery nazywana we własnym kraju „Chaplinem w spódnicy". Demonstruje ona swój duży talent komiczny i cały możliwy kobiecy wdzięk. Popisali się Czesi w tym filmie nie byle jakim bogactwem wystawy, mimo iż film ma w zasadzie charakter kameralny. Mniej w nim niż w „Starcach na chmielu" (pierwszym socjalistycznym musicalu) popisów tanecznych, ale dużo dobrej muzyki, której głównym środkiem wyrazu są songi wykonywane przez solistów i małe chórki. Całość błyskotliwa, dowcipna, i pełna niekłamanego wdzięku aż dziw, że się na nie nie daje złapać nasza publiczność, a zwłaszcza jej żeńska połowa. Rzecz chyba w tym, że po prostu publiczność nic o tym filmie nie wie. Z reklamą kinową, jak wiadomo, w dalszym ciągu u nas nie najlepiej, a szkoda, bo nie byłoby tej zupełnie niezasłużonej klapy. EWA NURCZYŃSKA

ROMAN IŻYKOWSKI

Musical a operetka

czyli

„dziecko Broadway'u" contra „wyfraczeni nicponie"

„...To tylko kwestia smaku,
Czy tam, czy właśnie tu..."

(z kupletów księcia Gigi w „Zemście nietoperza").

PANIE REDAKTORZE,

oto po jesiennych emocjach festiwali muzycznych, inauguracjach, premierach, znaleźliśmy się w samym oku karnawałowego „cyklonu". Powszechny nastrój rozbawienia — choć permanentnie walczą z nim smętne spektakle telewizyjne, a jeszcze mocniej zadziwiająco jednostajne w swej pesymistycznej nucie teksty piosenkarskie — zdaje się ogarniać przybyłmuz dotąd bardzo poważnych. Nie oparł się tej fali nawet łódzki Teatr Wielki i w sylwestrowy wieczór wystrzelił z wiwatowego działa najlżejszego kalibru, wystawiając klasyczną operetkę straussowską, „Zemstę nietoperza". Zapewne zauważył Pan, iż zapowiedziom tej premiery towarzyszyły akcenty zastrzegające naszą czujność: łagodne perswazje, że przecież to nic zdrożnego..., że nawet najsłynniejsze teatry operowe świata..., że operetka to prawie powszedni chleb każdego teatru operowego etc. etc. Już z doświadczeń odległego dzieciństwa wynieśliśmy ważne spostrzeżenie życiowe, że ten, kto się tłumaczy bez potrzeby, ma chyba coś na sumieniu... I w takim wypadku zaczynamy szczególnie skrupulatnie analizować, mierzyć, oceniać proporcje, jakie zachodzą między wysiłkiem włożonym w realizację odstępstwa od — w danym przypadku — repertuarowej normy, a efektami społeczno - artystycznymi przedsięwzięcia. Pole do rozważań tym bardziej skomplikowane, że Łódź posiada przecież dobrze prosperującą Państwową Operetkę, dublowanie działalności której, nie jest w naszych warunkach konieczne. Za intrygowany tym niespodziewanym chwilowym podwojeniem scen podkasanej muzy, postanowiłem obejrzeć oba spektakle, ten na Północnej, i ten na placu Dąbrowskiego. Wydało mi się zadaniem frapującym sprawdzenie czy owo bogate żniwo operetkowe zdołało oprzeć się mankamentom przysłowiowej „klęski urodzaju".

Nie było klęski, nie było dwu operetek (żeby nie rzec: nie było i urodzaju). Oto teatr na Północnej, zapewne w chwalebnej intencji uniknięcia wspomnianej dublerki, wystawił musical włoskiego wprawdzie, a nie amerykańskiego autoramentu, „Niedziele w Rzymie" Kramera. Wiele wylano atramentu przy próbach określenia istoty widowiska zwanego „Musical show", a będącego dzieckiem rozkrzyczanego Broadwayu. Z konglomeratu elementów rewii, variété, operetki, wodewilu, a nawet opery, stworzono przy sporych injekcjach muzyki jazzowej widowisko mające być z jednej strony zerwaniem z szablonem operetkowej fabuły, naszpikowanej postaciami utytułowanych i rozbrajających swą nierealnością wyfraczonych nicponiów, z drugiej zaś stawiające na tempo współczesnego życia i nie cofające się przed przerysowaniami nadającymi mu często polor trochę wulgarnej egzotyki wielkomiejskich przedmieść. Musical w swej europejskiej odmianie ciągle jeszcze pozostaje pod znacznym wpływem operetki, co ujawnia się szczególnie w ciągotach do romantycznego wątku miłosnego i sielankowo-ckliwych epizodów.

„Niedziela w Rzymie" wyreżyserowana przez **Tadeusza Cyglera** realizuje głównie dwa z formalnych założeń musicalu: żywe tempo akcji scenicznej i — a to już chyba zasługa świetnego opracowania muzycznego całości (**Henryk Debich!**) — ów specyficzny dla tego widowiska klimat muzyczny, nie zrywający jeszcze całkowicie z symfonizującą operetką, lecz zręcznie inkrustowany efektami współczesnej instrumentacji chętnie nawiązującymi do jazzu. Muszę się Panu przyznać, że od lat przyzwyczaiłem się do stosowania taryfy ulgowej w ocenie muzycznej strony widowisk realizowanych przez rodzime teatry operetkowe. Zdawałem sobie bowiem sprawę z tego, że filharmonie, opery czy orkiestry radiowe to potężne czynniki „kaperunku" co lepszych instrumentalistów i operetki mogą na tym polu mieć niejakie trudności kadrowe. „Niedziela w Rzymie" dosłownie znokautowała moje dotychczasowe poglądy w tym względzie: dawno w przybytku lekkiej muzy nie słyszałem tak pokaźnego ładunku precyzyjnie, sprężyście „podanej" muzyki, pełnej smaczków i pikantnego humoru, gdzie trzeba — dyskretnej, eleganckiej. Sprawność zespołu i czujność wobec batuty Henryka Debicha, godna podziwu i... zadumy. Żeby to tak wszędzie.

Ze zrozumiałych względów nie będę rozwodził się nad fabułą, nie chcąc neutralizować przyjemności śledzenia akcji scenicznej, gdy wybierze się Pan na Północną. Widzowie bawili się świetnie! Trójka aktorów: **J. Duński** jako profesor Tuzzi, czarujący w swej iście profesorskiej nieporadności życiowej, **St. Kowalczyk-Muszyńska** jako Giovanna, frapująca prawdziwie włoskim temperamentem przy ujmującej dziewczęcości swej postaci, i **J. Padkowski** jako restaurator Hannibal, doskonale i bez szarży kreujący swą „wybuchową" rolę, — dźwigała na sobie główny ciężar ładunku humoru podawanego w tempie zdolnym porwać najbardziej opornego widza. **C. Jarosiewicz** dzielnie dotrzymywał im kroku kreując rolę kochliwego ministra (kiedy otrzyma on pole do zademonstrowania swych walorów wokalnych obok tak obiecującego aktorstwa?), a **W. Bojarska** jako wdzięczna, „ciepła" wdówka na wydaniu. Nie można nie wspomnieć o fascynującej sylwetce **A. Gebickiej** jako „gwieździe filmowej" pierwszej wielkości. O, tu stracić głowę mogła nie tylko garstka uczniów prof. Duńskiego, ale i spory ośrodek akademicki! Przedstawienie ma wprawdzie pełne dwie obsady aktorskie i potrójną dyrygencką, lecz niestety, było mi dane obejrzeć tylko jedną... Obejrzeć za to w estetycznych, bez udziwnień, pomysłowych kostiumach **Zuzanny Piątkowskiej**, będącej również autorką lekkich, w pastelowych, ciepłych barwach utrzymanych dekoracji. Na ich tle raziła tylko brzydka i jakaś sfatygowana kotara, na tle której realizowano quasi-filmowe epizody. Widowisko otrzymało bogatą, ładną w poszczególnych pomysłach i dobrą w wykonaniu oprawę choreograficzną (**Stanisław Miszczyk**), a także chóralną, starannie opracowaną przez **K. Skindera**.

Przyznam się Panu, Panie Redaktorze, iż wbrew oczekiwaniom fakt, że idąc do operetki trafiłem na musical, a nawiedzając operę zastałem tam operetkę (i to z personalnymi zapożyczeniami z ul. Północnej!) nie wytrącił mnie z równowagi. No cóż, karnawał ma swoje prawa... Natomiast opadły mnie refleksje, których końcowym wnioskiem było uświadomienie sobie faktu, iż Opera Łódzka podjęła tu zadanie tyle ryzykowne, co trudne. Nie warto może zbyt szczegółowo analizować te trudności, wystarczy jednak zasygnalizować niektóre, by pojąć, że dla zespołu przywykłego do dramatu muzycznego praca nad przygotowaniem operetki nie była bynajmniej jakimś ulgowym „zwolnieniem obrotów". Przeciwnie, zmuszała ona przede wszystkim do przestawienia się na zgoła odmienny typ aktorstwa i zwielokrotnione tempo akcji scenicznej, w której, zwłaszcza momenty humorystyczne nie cierpią żadnych zwolnień. Zakładając, że ideał w tym względzie od razu osiągnąć będzie trudno, kierownictwo Opery słusznie szukało rekompensującej przeciwwagi w pieczołowitym opracowaniu muzycznej strony widowiska. Zasługuje ono istotnie na wszelkie pochwały na równi z czystą, operującą lekkimi, ażurowymi konstrukcjami oprawą scenograficzną **Stanisława Bąkowskiego**.

Kto, co, kiedy?

relacje

niedyskrecje

GDYBY DZIECI BYŁY URBANISTAMI...

■ Gdyby nasi urbaniści liczyli sobie po pięć latek mieszkalibyśmy w wielkich ślimaczych muszlach albo w głębi olbrzymich grzybów na skraju lasu lub w chatkach zaczepionych na gałęziach drzew — czytamy w paryskim tygodniku „L'Express". Dwunastoletnie dzieci budowały by osiedla, które żywo przypominałyby miasta z powieści science-fiction. Byłyby to domy w kształcie ośmiornic lub latających talerzy, albo też mieszkalibyśmy w domach umieszczonych na pędzących w przestworza rakietach międzyplanetarnych. Takie są przynajmniej wyniki specyficznej ankiety przeprowadzonej we francuskim mieście Cergy-Pontoise. Miasto to liczy dziś 20 000 mieszkańców, ale przewiduje się, że w roku 2 000 będzie ono miało 400 tys. Sześć tysięcy dzieci z Cergy-

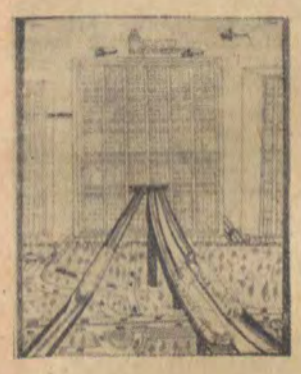

Pontoise, w wieku od lat 5 do 17 rysowało swoje miasto tak jak go sobie wyobrażają w roku 2 000, a więc wtedy gdy będą już dorosłymi jego mieszkańcami.

Ciekawe, że niektóre elementy powtarzały się stale w rysunkach dzieci. I tak np. starsze umieszczały zazwyczaj na dachach olbrzymich budynków w centrum miasta lotniska dla ruchu pasażerskiego. Wśród najrozmaitszych urządzeń dzieci nie zapominały o miejscach dziecięcych zabaw, o placach porośniętych trawą o basenach gdzie mogłyby pływać. Czasem planowały kształt miasta w formie gwiazdy, z reguły wyodrębniały dzielnice, z których każda miałaby swój specjalny charakter i przeznaczenie a więc dzielnice, gdzie się pracuje, bawi, dzielnice szpitalne itp. Nie zapomniały też o teatrach i muzeach, domach wypoczynkowych, internatach dla ludzi starych specjalnych urządzeniach chroniących przed hałasem i mikrobami.

SZTUKA GRANA PRZEZ PIĘTNASCIE LAT

■ W roku 1952 słynna autorka powieści kryminalnych, Agata Christie, obdarzyła swego wówczas dwunastoletniego wnuka, osobliwym prezentem urodzinowym — podarowała mu wszystkie tantiemy należne jej w przyszłości za wystawianą na scenie sztukę pt. „Pułapka na myszy".

Sztuka napisana początkowo jako słuchowisko radiowe, według przewidywań impresarią teatralnego miała się utrzymać na afiszu najwyżej przez pół roku.

Stało się inaczej i dziś wnuk siedemdziesięciosześcioletniej pisarki, Matthew Prichard jest milionerem. Bowiem „Pułapka na myszy" grana jest nieprzerwanie osiem razy w tygodniu (w każdy dzień roboczy i dodatkowo dwie popołudniówki) od roku 1952 aż po dzień dzisiejszy w londyńskim teatrze „Ambassador". Sztukę obejrzało w tym teatrze już dwa i pół miliona widzów. Ponadto „Pułapkę na myszy" grają teatry w miastach prowincjonalnych Wielkiej Brytanii i za granicą w 36 krajach. Żadna jeszcze sztuka dramatyczna ani w Anglii, ani w ogóle w Europie nie utrzymywała się tak długo bez przerwy w jednym i tym samym teatrze.

W sztuce występuje osiem osób. Akcja przebiega w wiejskim dworku zamienionym na pensjonat przez zrujnowanego właściciela ziemskiego. Osoby przebywające w owym pensjonacie więzi zamieć śnieżna. I, wtedy w ciemności ginie jedna z osób, uduszona przez nieznanego sprawcę. Każda z pozostałych siedmiu może być potencjalnym mordercą.

Klarowna akcja, swoisty humor — oto co zapewniło sztuce niebywały sukces. W dramacie, granym od lat piętnastu na tych samych deskach scenicznych, dekoracje są w zasadzie te same, ale szereg przedmiotów trzeba było zmienić. I tak np. już czterokrotnie zmieniano dywan który się niszczył, trzy razy musiano zakupywać nową sofę, gdyż stara sofa była już zbyt wysiedziana. Na skutek wymogów mody, aktorki coraz bardziej skracać musiały swe suknie, a spodnie panów robiły się coraz węższe. W tekście pisarka też musiała wprowadzać drobne zmiany. I tak np. pełna opłata za tygodniowy pobyt w pensjonacie wynosiła w roku 1952 tylko 7 funtów, dziś wynosi ona już 12 funtów. Aktorzy również się zmieniają. Ogółem w sztuce wystawianej przez 15 lat w teatrze „Ambassador" osiem postaci kreowało kolejno już aż stu czterech aktorów.

Agata Christie

POWODZENIE WYSTAWY INGRESA

■ Wystawa malarstwa Ingresa spotkała się w Paryżu z nieoczekiwanym, ogromnym sukcesem. Zwiedziło ją już 155 tysięcy osób, a w pierwszym dniu nowego roku odnotowano rekordową liczbę 6 500 zwiedzających.

Prasa francuska podkreśla, że jeszcze żadna wystawa nie wywołała tak krańcowych sądów o malarzu — od największych zachwytów do ostrej krytyki. Gdy jedni chwalą Ingresa za awangardowość, inni zarzucają mu chłodny akademizm. W każdym razie wystawa, która potrwa do końca lutego, wywołuje ogromne zainteresowanie.

Przypomnijmy króciutko, że Jean Auguste Dominique Ingres (1780—1867), uczeń Davida, uchodzi za typowego przedstawiciela francuskiego klasycyzmu. Ulubione jego tematy to sceny historyczne portrety, akty kobiece i sceny orientalne jak „Odaliska", „Łaźnia turecka".

A może podyskutujemy?

W trzy tygodnie po zakończeniu IV Łódzkich Spotkań Teatralnych ukazał się w „Odgłosach" jedyny o nich artykuł i to pod symptomatycznie zaczynającym się tytułem: „Na marginesie...".

Sądząc z podtytułu „Odgłosów" — pismo społeczno-kulturalne — spodziewałem się znaleźć podsumowanie tej największej w Polsce, teatralnej imprezy studenckiej, oceny osiągnięć czołowych zespołów, ich roli w życiu naszego społeczeństwa — choćby te osiągnięcia i rola były zdaniem „Odgłosów" znikome. Ale nie, artykuł traktuje głównie o sprawach organizacyjnych, głównie, bo jest i uwaga o „studenckości" studenckich teatrów, o eksperymencie Mario Ricci'ego, o konieczności atmosfery dyskusji i leciutka groźba, że „można by jeszcze przy okazji poruszyć kilka dalszych kwestii związanych z Łódzkimi Spotkaniami Teatralnymi".

O czym traktuje więc artykuł? Ba, właśnie. Muszę wierzyć, że brak miejsca na łamach „Odgłosów" zadecydował o tym, że nasze Spotkania potraktowano byle jak i „Na marginesie". Ale artykuł ukazał się właśnie taki, jakim go czytaliśmy i kończy się apelem „by głos zabrali organizatorzy, a przede wszystkim środowisko studenckie". Będąc związany ze Zrzeszeniem Studentów Polskich (głównym, choć nie jedynym organizatorem Spotkań), a więc i ze środowiskiem studenckim, spróbuję wytłumaczyć pewne niejasne, jak się okazuje, momenty naszej imprezy.

Skarży się autorka, że w ciągu trzech dni trzeba było obejrzeć 15 spektakli, że niektóre kończyły się późną nocą, podziwia jury i twierdzi, że taki natłok jest bezsensem. Niestety, to prawda, jury musiało obejrzeć 15 spektakli, choć my, łodzianie, mieliśmy ich tylko 12 (przecież z „Pstrągiem", STUŁ-em i „Cytryną" mogliśmy zapoznać się w innym terminie). Ale to chyba dobrze, że tak wiele jest interesujących przedstawień, by ubiegały się o miano najlepszego spektaklu roku; tak wielu twórców: reżyserów, scenografów, muzyków, aktorów — godnych ubiegania się o nagrodę. Bo Łódzkie Spotkania są jedynym przeglądem teatrów studenckich w Polsce, gdzie przyznawane są nagrody indywidualne.

Autorka tytułu proponuje „usprawnienie... nawet kosztem przedłużenia trwania" Spotkań. Zgoda. Ale tu musimy zacząć liczyć. Jeden dzień trwania Spotkań kosztował ponad 60.000 zł, — suma jak na możliwości Zrzeszenia ogromna i... „znikąd pomocy". Tak, gdyż Ministerstwo Kultury i Sztuki dotowało nas w wysokości 10 proc. wszystkich kosztów, a współorganizator, Wydział Kultury niecałe 15 proc. Koszt wypożyczenia tylko sal teatralnych pochłonął czwartą część całego budżetu. I chyba w jakiejś mierze tłumaczy to inny zarzut autorki: drogie bilety wstępu.

Przyznaje, że groziło nam „odebranie" Spotkań na rzecz miasta bardziej nimi zainteresowanego, dla którego nie będzie to tylko jeden z wielu przeglądów festiwali, czy konkursów.

Bo chyba musiała zauważyć autorka na, choćby inaugurującym Spotkania przedstawieniu lubelskiego „Gongu" większość pustych krzeseł w rzędach zarezerwowanych dla gości. I dlatego twierdzę, wbrew autorce, że nie „odfajkowaliśmy" problemu — po prostu obroniliśmy jeszcze raz Łódzkie Spotkania Teatralne.

W innym miejscu artykułu czytamy, że Spotkania, zdaniem „Odgłosów", mijają się z celem, jeśli nie towarzyszy im atmosfera konfrontacji i dyskusji, „tym bardziej, że tu i ówdzie rozlegają się głosy poddające w wątpliwość słuszność drogi rozwojowej", że „istnieją takie wypadki, gdy nazwa teatr studencki stanowi czystą fikcję.".

By nie wdawać się w dyskusję ze zbyt enigmatycznymi stwierdzeniami, prosiłbym Redaktora Naczelnego, by znalazł nieco miejsca w swym piśmie na artykuł poświęcony tylko temu tematowi; sądzę bowiem, że autorka dysponuje dostateczną ilością argumentów, by wyjść zza węgła „tu i ówdzie" i otwarcie wypowiedzieć na ten temat swoje zdanie.

Na Spotkania poza biorącymi w nich udział zespołami, przyjechało około 40 reżyserów innych teatrów studenckich, aby oglądać i dyskutować. Trudno mi przekonywać, że dyskutowali istotnie. Muszę jednak poinformować, że w czwartym dniu Spotkań odbyła się narada jury z reżyserami naszych teatrów, gdzie w burzliwej dyskusji próbowano dokonać oceny całego studenckiego ruchu teatralnego. Świadomie nie zapraszaliśmy na nią przedstawicieli prasy, by nie krępowała dyskutujących obawa, że „tu i ówdzie" pojawią się nagle artykuły przepowiadające rychły koniec studenckiego ruchu teatralnego, a mające za podstawę tak autorytatywne dowody, że sami działacze studenccy go krytykują.

Przestrzegamy w Zrzeszeniu pewnego zwyczaju — przed każdą większą organizowaną przez nas imprezą zapraszamy dziennikarzy, których, jak sądzimy, będzie ona interesować, na tzw. konferencję prasową. Informujemy, odpowiadamy na pytania, wyjaśniamy. Nie po to, by „przekupić" piszących o nas, ale, by mając w miarę pełne rozeznanie, nie sądzili zjawisk powierzchownie, aby swoich wątpliwości przed ich sprawdzeniem nie wyładowywali w artykułach, bo nie zawsze organizatorzy są winni, choć w latach ubiegłych i nam się słusznie za organizację obrywało. Ale najłatwiej z wyżyn „pisma społeczno-kulturalnego" karcić maluczkich, każąc sobie pewnie jeszcze dziękować, że się „przy okazji kilka dalszych kwestii" nie poruszyło.

Proszę je poruszyć, ale konkretnie, rzetelnie i ze znajomością przedmiotu. Proszę przyjść do Zrzeszenia i porozmawiać z nami. Mimo że jesteśmy tylko organizatorami, nieźle orientujemy się w studenckim ruchu teatralnym i może dlatego na występach Mario Ricci'ego nie czuliśmy „ożywczego tchnienia wielkiego świata", wspomnieliśmy jedynie próby kilku naszych teatrzyków sprzed paru lat. Bo dzieje studenckiego ruchu teatralnego w Polsce, mimo że krótkie, są jednak bogate. Szkoda, że tak niewiele osób piszących o nim, zdaje sobie z tego sprawę.

JAN JAKUBISZYN

Batutę dzierżył impulsywny, w pełni gwarantujący żywe tempo spektaklu, **Józef Klimanek.** Jeśli już mówimy o wkładzie zespołu kierowniczego, to aż dziw bierze, ile dobrego, komediowego aktorstwa zdołała wykrzesać z naszych operowiczów reżyseria **Danuty Baduszkowej!** Przy okazji mieliśmy sposobność odkryć nowy talent w indywidualności **Antoniego Majaka,** tym razem jako komika do łez rozśmieszającego publiczność, a kreującego rolę „szwejkującego" strażnika więziennego Froscha (**Stanisław Kamiński** w tej roli przesadził w „zawianiu"). Znaczne pole do popisu miał w tej koncepcji inscenizacyjnej „Zemsty", wzbogaconej licznymi wstawkami walcowymi, autor oprawy choreograficznej, Witold Borkowski; jego to zasługa jest kulminujący całość spektaklu efekt środkowego aktu, balu u księcia Gigi. Walcował jako tako również i zespół chóralny złożony z nad podziw niskich wzrostem panów i smukłych pań, co przydawało całości tym razem chyba nie zamierzonego humorystycznego efektu.

Jak się rzekło korona całości była m u z y k a, a więc przede wszystkim dobry śpiew. Z satysfakcją stwierdziliśmy, że tenor **Romualda Spychalskiego** brzmi znów pięknie jak za najlepszych czasów. W jego kreacji lekkoducha Eisensteina walory wokalne walczyły o lepsze z zadziwiająco swobodnym aktorstwem, budzącym sympatię dla kreowanej postaci nawet w momentach gdy ujawnia ona niezbyt piękne cechy swego charakteru. Dwie Rozalindy znalazły wdzięczne odtwórczynie w osobach **Ireny Jurkiewicz** i **Krystyny Nyc-Wronko.** Wdzięczne, acz zupełnie różne. Irena Jurkiewicz stworzyła typ tzw. „słodkiej kobietki", może troche zbyt naiwnej jak na bądź co bądź wiarołomną żonę. Śpiewała krystalicznie czysto, zadziwiając pewnością, zwłaszcza w górnych rejestrach swego sopranu. Krystyna Nyc-Wronko dała koncepcję tej postaci bardziej przewrotną, grała ją i śpiewała z większą pasją. Ale tu: uwaga! Jej piękny głos nie znosi przekraczania określonych granic dynamiki i przy zbytnim nasileniu owej „pasji" potrafi zabrzmieć ostro, tracąc swój zwykle piękny blask. W zbliżonych granicach różne koncepcje postaci zwariowanego na punkcie swego głosu tenora Alfreda stworzyli: **Tadeusz Kopacki** i **Henryk Kłosiński.** Nawiasem mówiąc obu głosów dla tej epizodycznej postaci szkoda. Aktorsko bardziej swobodny był niewątpliwie Kopacki. Kłosiński, wolniej nieco rozkręcający się, nie zdołał w rozwoju akcji dotrzeć do swego głosowego apogeum. Operetka nie wydaje się być dla obu najwłaściwszym polem.

W galerii kontrastowych ujęć dublowanych w „Zemście" postaci z dwu obsad wymienić trzeba także pokojówkę Adelę, pozującą na aktorkę w pełnym różnych mistyfikacji akcie drugim. Jednym z jej wcieleń była **Delfina Ambroziak,** drugim — **Izabella Binek-Nawe.** Pierwsza ujmująca wdziękiem iście wiedeńskiej subretki, grająca i śpiewająca pięknie nad podziw, druga — zaskakująca ogromną skalą możliwości w koloraturze, choć nieco mniej aktorsko swobodna. Jesteśmy jej ciekawi w następnych wcieleniach w pełni pozwalających ujawnić wspomniane walory wokalne.

Zbigniew Studler — dyrektor więzienia, i **Stanisław Heimberger** — Falke, ów mszczący się „nietoperz", grali świetnie, śpiewali zbyt mało. Tak, Panie Redaktorze, łapiemy się ciągle na tym, że od artystów operowych oczekujemy przede wszystkim — śpiewu, zaś wszystko co ich od tego oddala skłonni jesteśmy uważać za sztuczną przeszkodę.

Osobne słowa należą się starannie przygotowanej orkiestrze, z premiery na premierę grającej sprawniej i intonacyjnie czyściej. Klimanek opracował tę część zawartości muzycznej straussowskiego, klasycznego już dziś dzieła operetkowego, z pietyzmem równym opracowaniom wielkich spektakli operowych. Jego temperament świetnie pasuje do tanecznych, żywych rytmów „Zemsty".

Kiedyś słyszałem, że nasz dumny Teatr Wielki jeszcze nie posiada pełnego wyposażenia arsenału efektów świetlnych. Nie wiem czy stan ten jeszcze trwa, lecz niektóre sceny wydały mi się troche niedoświetlone...

Czas podsumować owe dwa karnawałowe wydarzenia na łódzkich scenach muzycznych tym razem brzmiących unisono na wesołą nutę. Wypada ocenić inicjatywę Opery Łódzkiej nieco inaczej niż to się zwykło było czynić w przeszłości, kiedy to wystawianie operetek w szacownych murach świątyń dramatu muzycznego miało ratować je przed finansową ruiną. To przecież wypełnionej po brzegi widowni Teatru Wielkiego nie grozi! Dlatego też skłonni jesteśmy uznać ten fakt za pewnego rodzaju próbę sił jakiej postanowiono poddać zespół, a także chwalebną chyba chęć pokazania widowiska operetkowego o ustalonej już klasycznej renomie na wielkiej scenie z wyeksponowaniem jego przede wszystkim m u z y c z n y c h walorów. Czy próba ta wypadła pomyślnie w wewnętrznej ocenie kierownictwa opery? — na to pytanie odpowie ono sobie samo. Czy włożony wysiłek w przestawienie się na inne zgoła parametry pracy odpowiada jego społeczno-artystycznym efektom? Na to pytanie odpowiedź da zapewne publiczność głosująca za czy przeciw, swą frekwencją. Gdyby Pan, Panie Redaktorze, oczekiwał odpowiedzi ode mnie, musiałbym powiedzieć, że musical i operetka w Łodzi równocześnie — to żaden zgubny karambol. Nie znaczy to jednak, bym uważał za słuszne, że w momencie kiedy na Północnej zdecydują się np. wystawić „Księżniczkę czardasza" nasz Teatr Wielki z miejsca sięgnie po partyturę „West Side Story"...

Izabella Binek-Nawe i Romuald Spychalski w „Zemście nietoperza".

Fot. Fr. Myszkowski

JAN KOPROWSKI

Peregrynacje Straussów do Polski

Mimo iż żyjemy w epoce big-beatu, rock and rolla i cha-cha-cha, każdy bal karnawałowy zaczyna się, zgodnie z niepokonaną dotychczas tradycją, od walca. Najczęściej rozbrzmiewa któryś z walców Jana Straussa, w zależności od upodobań i aktualnego przygotowania orkiestry.

Można z góry przewidzieć, że będzie to albo „Nad pięknym modrym Dunajem", albo „Opowieści Lasku Wiedeńskiego", albo też „Walc cesarski", tańczony ongi przez samego cesarza Franciszka Józefa, gdyż kompozytor na cześć monarchy walca tego skomponował, albo jeszcze jakiś inny z nieśmiertelnych walców Jana Straussa — syna. Bo chociaż faktycznym twórcą walca wiedeńskiego był Jan Strauss — ojciec, to przecież dopiero syn rozsławił go w stolicach wszystkich krajów, zdobywając szturmem serca młodych i starych, kobiet i mężczyzn.

Ale początki nie były wcale łatwe. Tata Strauss odnosił się do muzykowania syna bez entuzjazmu (zazdrość, zazdrość), lecz że syn był uosobieniem energii, a rodzice w tym czasie przeżywali kryzys swego małżeństwa, wykorzystał sytuację i zaczął pobierać potajemnie lekcje gry na skrzypcach. Stary Strauss, nie mogąc zażegnać małżeńskiego kryzysu, doprowadził do rozwodu i nim się zorientował, syn tego już zagrywał. Nie było innej rady: ojciec wziął go do zespołu, w którym sam spełniał rolę dyrygenta i pierwszego skrzypka. Ale rzutkiemu i pełnemu temperamentu synowi to nie wystarczało. Mając zaledwie lat dziewiętnaście założył własną kapelę i 15 października 1844 roku zadebiutował jako dyrygent na koncercie w wiedeńskim Donmayer-Casino. Publiczność szalała z zachwytu. Kiedy o dwunastej w nocy dziennikarz Wiest opuszczał lokal, młody Strauss wykonywał po raz dziewiętnasty „Sinngedichte" (Epigramy). W kilka dni później na łamach pisma „Wanderer" Wiest pisał: „Dobranoc, Lanner! Dobry wieczór, Straussie ojcze! Dzień dobry, Straussie synu!". Stary Lanner nie żył już od roku, a Strauss ojciec, którego mówiąc nawiasem gry na skrzypcach uczył Poliszański z Tarnowa, zaczął tracić znaczenie i popularność, by w roku 1849 umrzeć w cieniu wielkiej sławy własnego syna, przeżywszy zaledwie czterdzieści pięć lat. Młody Strauss robi zawrotną karierę. Wyjeżdża ze swoim zespołem do Paryża i Londynu, do Pragi i Drezna, do Petersburga i Filadelfii. Wybierze się również do Warszawy, o czym należy napisać nieco szczegółowiej.

Mamy połowę dziewiętnastego stulecia, dokładnie rok 1851. Strauss, sławny już w Europie kompozytor i dyrygent ciekawy jest publiczności polskiej, przed którą jeszcze nie występował. Decyduje się na wyjazd do kraju nad Wisłą, lecz oto zamiarom jego stają w poprzek nieprzewidziane przeszkody. Gubernator miasta Warszawy, człowiek ostrożny, żeby nie powiedzieć: strachliwy, boi się ludzi znad Dunaju, uważając ich nie tyle za muzyków, co raczej za ukrytych zamachowców. Robi Straussowi trudności, by uniemożliwić przyjazd i wykonanie domniemanego zamachu. Strauss idzie na kompromis i proponuje występy w zmniejszonym zespole. Ale i to nie jest w stanie rozproszyć podejrzeń gubernatora. Sprawa dociera na dwór cesarski i dopiero osobista pomoc Franciszka Józefa zdoła przełamać opory ówczesnego władcy Warszawy. Jednakże przy wjeździe na teren Polski poddano członków zespołu Straussa (jego samego nie wyłączając) dokładnej kontroli, czy aby w futerałach, zamiast skrzypiec, nie przewożą ładunków wybuchowych. Publiczność warszawska oczarowała Straussa. Owacje, jakie mu tam zgotowano, przeszły jego najśmielsze oczekiwania. Prezentował utwory Lannera, ojca, ale przede wszystkim swoje własne, które cieszyły się największym powodzeniem. Strauss z upodobaniem odwiedzał kawiarnie warszawskie, chodził po ulicach, zaglądał do Łazienek. A czas był piękny: złota polska jesień. Żółte liście spadały na stawy łazienkowskie, lekki wiatr marszczył powierzchnię wody i popychał je naprzód jak małe papierowe łódeczki. Strauss wspominał później, że czuł się w Warszawie bardzo dobrze, bo Polacy to naród romantyczny, rozkochany w muzyce i poezji, i chociaż pozbawiony własnego państwa — umiejący radować się życiem. Po dniu pełnym wrażeń z tym większą energią przystępował do wieczornego koncertu, by podbijać swoją grą urocze warszawianki. Że i on nie pozostał obojętny na wdzięki ówczesnych Polek, może świadczyć fakt, że po powrocie do Wiednia napisał nowy utwór „Warschauer Polka" op. 84.

Lata płyną, młody przystojny Strauss z czarnym fantazyjnym wąsem, umacnia swoją pozycję, pożądany jest wszędzie, oferty i zaproszenia na wyjazdy zagraniczne sypią się jak z rogu obfitości, o jego obecność ubiega się każdy salon, każde co nobliwsze towarzystwo. Zimą 1861 roku poznaje Strauss śpiewaczkę Henriettę von Treffz na wydanym przez nią balu. Olśniony jej urodą powiedział do towarzyszącego mu Vieuxtempsa: „Jeśli się ożenię, to tylko z nią, albo z żadną". Jak powiedział, tak uczynił. Henrietta przyjęła oświadczyny sławnego muzyka i 27 sierpnia 1862 roku odbył się ich ślub. O Henriecie, zwanej zdrobniale Jetty, mówiono, że jest od Straussa starsza, ale nikt nie mógł powiedzieć dokładnie, ile właściwie ma lat. Prawdopodobnie i ona sama tego nie wiedziała. Według opinii jednych, urodziła się w roku 1816, według innych — 28 czerwca 1820 roku, a znalazł się nawet taki galant, który twierdził, że ujrzała światło dzienne dopiero pod koniec 1826 roku. Ona sama, zapytana przez przyjaciół, która z tych dat jest prawdziwa, odpowiedziała z wdziękiem — „Żadna".

Tymczasem jego młodsi bracia, Józef i Edward, również zdobywali sobie pozycję i znaczenie. Ich kompozycje nie cieszyły się wprawdzie tak wielkim wzięciem, jak Jana, ale jako dyrygenci tak mu się spodobali, że wkrótce powierzył im kierownictwo swego zespołu, sam zaś poświęcił się wyłącznie pracy kompozytorskiej, głównie twórczości operetkowej. Józef wybrał się, podobnie, jak przed laty jego brat Jan, na występy do Warszawy. Podpisał kontrakt na cały sezon i koncertować rozpoczął w maju 1870 roku w Dolinie Szwajcarskiej. Ale nie było mu są dzone wypełnić roli swej do końca. Zmarł nagle 27 lipca tegoż roku. Na temat jego śmierci krążą różne wersje. W szóstym tomie Encyklopedii Powszechnej Orgelbranda wyczytałem, że „nabawił się śmiertelnej choroby", natomiast Józef Władysław Reiss podaje, że został „zabity przez jakiegoś oficera rosyjskiego". Jeszcze innego zdania był wiedeński biograf Straussa, dr Erich Schenk, który w pracy swej napisał o Józefie: „Po paru udanych koncertach w Warszawie, w czasie jednego z nich, przerażony „werwą" orkiestry, załamał się, doznał szoku nerwowego i zmarł wkrótce po powrocie do Wiednia". W każdym razie czy takie były przyczyny śmierci Józefa Straussa czy inne, brat Jan przeżył tę katastrofę boleśnie. Nie miał jednak czasu na rozpamiętywanie straty, gdyż musiał natychmiast jechać do Warszawy, by zastąpić brata. Był to jego drugi, tym razem z konieczności, przyjazd do Warszawy. Stanął na czele orkiestry i dyrygował kilkoma koncertami aż do chwili znalezienia nowego dyrygenta na to stanowisko.

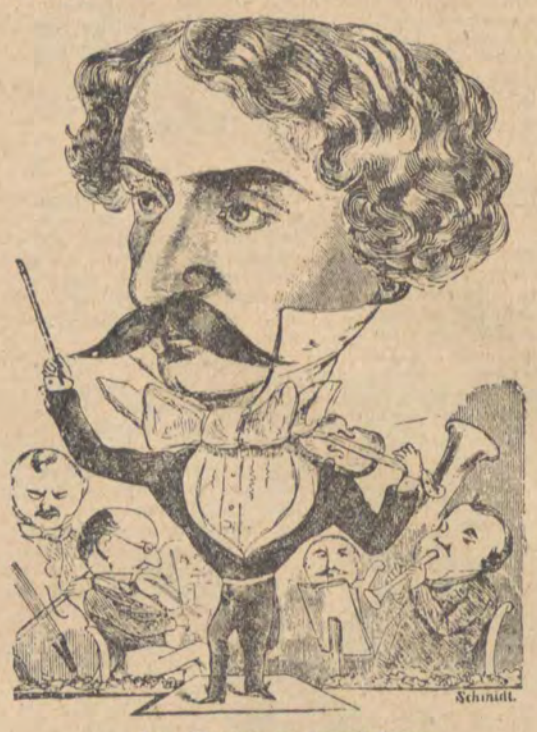

Jan Strauss w karykaturze.

Znany recenzent muzyczny i przyjaciel Straussa, Edward Hanslick, namawiał go, aby spisał swoje wspomnienia z wojaży zagranicznych, w tym również wspomnienia warszawskie. Jan Strauss odpowiedział: „Spróbowałem i zacząłem dyktować coś niecoś mojej żonie, ale okazało się to niemożliwe. Nie, tego nie da się zrobić". Tak więc nie mamy po nim zapisków pamiętnikarskich, które z pewnością wyjaśniłyby nam niejedno z jego własnego życia i z życia rodziny Straussów. Pozostały „Erinnerungen", spisane przez najmłodszego brata, Edwarda, ale o sprawach nas tutaj interesujących niewiele możemy się z nich dowiedzieć.

Ponieważ wybiegłem trochę naprzód, muszę znowu cofnąć się do lat siedemdziesiątych. W nocy z 8 na 9 kwietnia 1878 roku umiera nagle Jetty. Jan Strauss ma wówczas lat 53. Jest na świeczniku i nie jest stary. Dwór cesarski obsypuje go zaszczytami i godnościami. Przyjaciele doradzają mu, aby związał się nowym węzłem małżeńskim z młodą pięknością, Angeliką Dietrich z Kolonii, uczennicą dyrektora Operetki Cesarskiej, Procha, która pragnie występować na scenie i pragnie w tej materii zasięgnąć porady samego mistrza Straussa. W kilka miesięcy po stracie Jetty, jesienią 1878 roku, Lily — jak nazywała siebie Angelika — zostaje jego drugą żoną. Małżeństwo okazało się nieudane. Po pięciu latach udręki, u boku mistrza, który wszystkie siły poświęcał sztuce, a młoda małżonka czuła się nieukontentowana, zdecydowała się na ucieczkę ze swoim przyjacielem, niejakim Steinerem, który zdaje się już wcześniej pocieszał ją w jej zmartwieniach. Trzecią (i ostatnią) żoną Straussa była Adela, młoda wdówka po bankierze, Albercie Straussie. Mimo całkowitej zbieżności nazwisk nie było między nimi żadnego pokrewieństwa. Ponieważ jednak poprzednia żona nie chciała się zgodzić na rozwód („Drecz się, drecz — miała mówić do przyjaciółek — żeby ci nie było za dobrze"), Strauss aby pokonać przeszkody, przeszedł na protestantyzm (był katolikiem), wyjechał na krótko do Coburga w Bawarii, gdzie udało mu się uzyskać rozwód i wziąć ślub z nową wybranką serca. Syty sławy i uznania Strauss nawet w ostatnich latach swego życia wcale sobie nie pofolgował. Wciąż dopisywała mu pomysłowość twórcza a kondycji mógł mu niejeden pozazdrościć, dzięki czemu był w stanie pomnażać swój i tak już bardzo obfity dorobek muzyczny. Zmarł w ostatnim roku dziewiętnastego stulecia, tego stulecia, do którego chwały sam przyczynił się w sposób najistotniejszy, bo unieśmiertelniając jego sukcesy, radości i nadzieje.

3 czerwca 1899 roku Strauss zasłabł, a przed godziną czwartą po południu już nie żył. Niektórzy twierdzą, że postąpił zgodnie z dewizą wiedeńczyków: lekko żyć, pogodnie umrzeć. Ale życie jego nie było lekkie. Można powiedzieć: było barwne i bogate, pracowite i opromienione powodzeniem, lecz to nie oznacza bynajmniej, że nie obfitowało w trudne i szarpiące nerwy przeżycia. Wyprawiono mu wspaniały pogrzeb, jakiego nie miał nikt przedtem, ani później. Kronikarze zanotowali, że na ulicę wyszedł cały Wiedeń, by odprowadzić swego ulubieńca i czarodzieja, wielkiego „króla walca" na ostatni spoczynek. Pochowano Straussa na Cmentarzu Centralnym (Zentralfriedhof) w grobowcu honorowym obok Brahmsa i Schuberta. Brahms, który zmarł dwa lata wcześniej, bardzo go cenił. Znana jest następująca historia: gdy Strauss skomponował „Nad pięknym modrym Dunajem" zadedykował utwór ten Brahmsowi; przyjaciel, otrzymawszy wydrukowany egzemplarz utworu, napisał na jego okładce: „Leider nicht vom Brahms" (Niestety — to nie Brahmsa).

We wspomnieniach i artykułach pośmiertnych, które ukazały się w prasie całego świata, pisano: „Jan Strauss był dobrym i obdarzonym wielkim poczuciem humoru człowiekiem, o łagodnym rycerskim usposobieniu. Stworzył muzykę, która przetrwa po wsze czasy. Był Mozartem walca, Beethovenem kotyliona, Paganinim galopady, Rossinim potpouri..."

W 1921 roku w wiedeńskim Parku Miejskim (Wiener Stadtpark) odsłonięty został pomnik Jana Straussa, zaprojektowany przez Edmunda Hellmera. Ze skrzypcami w jednej i smyczkiem w drugiej ręce, spogląda z pomnika na ogród, na ludzi, którzy tu codziennie przychodzą, na miasto, w którym przeżył wszystkie swoje lata i stworzył prawdziwe klejnoty sztuki muzycznej. Gdym przed paroma laty pojechał do Wiednia, pierwsze swoje kroki skierowałem do parku, by pokłonić się Janowi Straussowi i okazać mu wdzięczność za piękną muzykę oraz za tę odrobinę sympatii, którą otaczał nasz kraj.

Zdaje się, że był z tego zadowolony.

Lewym okiem

JAK NADĄŻYĆ Z KONSUMPCJĄ?

Czytaliśmy w prasie, że skrócony tydzień pracy w Niemieckiej Republice Demokratycznej nie tylko nie spowodował spadku produkcji, ale wręcz przeciwnie — dał w wyniku zwiększoną wydajność pracy i wzrost produkcji globalnej.

Woparciu o bardzo skrupulatnie obliczone wyniki eksperymentu nasi sąsiedzi zza Odry przystąpili do dalszego skracania ilości godzin roboczych na tydzień, upowszechniając jednocześnie zasadę tygodnia pięciodniowego, czyli wolnej soboty.

Niestety, właśnie przedstawicieli NRD zabrakło w Semmeringu, gdzie w listopadzie ub. roku z inicjatywy Organizacji Narodów Zjednoczonych odbyło się międzynarodowe seminarium na temat czasu wolnego od pracy. Szkoda, mogliby powiedzieć na pewno dużo ciekawych rzeczy.

Przebieg seminarium, zrelacjonowany przez Kazimierza Żygulskiego w „Polityce", nie nastraja optymistycznie. To straszne, kiedy bardzo uczeni ludzie mówią, że „skracanie czasu pracy wynika z konieczności stworzenia warunków dla masowej konsumpcji". Rany boskie, nie dajmy się zwariować! To zdanie znaczy przecież, że świat produkuje już tyle, że nie zdąża z konsumpcją! Nie zdąża! Budujemy — my, ludzie, liczeni wszyscy razem — gęstą sieć kolei żelaznych i nie mamy kiedy wyjechać choćby za miasto, na ryby. Produkujemy superprecyzyjne tele- i radioodbiorniki i nie mamy kiedy słuchać lub oglądać produkowanych bez sekundy przerwy programów. Produkujemy, produkujemy — po co, dla kogo, dlaczego? Dajcie im przynajmniej sobotę — mówią uczeni w piśmie — bo cała zabawa traci sens...

I zaraz odpowiada w Semmeringu inny uczony w piśmie: chwileczkę! Damy dwa dni wolne, facet weźmie samochód, wyjeździ na nim tysiąc kilometrów, zmacha się przy kierownicy bardziej niż przy tokarce i co — i do fabryki przyjdzie odpoczywać? Albo poświęci czas na życie towarzyskie i w poniedziałek skacowany, zatruty alkoholem, obniży wydajność całej taśmy? Niech lepiej stoi spokojnie i robi, co mu każą!

Jeszcze inny obawia się, że wolne soboty ten i ów poświęci na majsterkowanie, ulubioną zabawę wielu starszych panów. A do majsterkowania potrzebne są narzędzia i materiały. Więc narzędzia i materiały zaczną ginąć z fabryk! I jeszcze jedna obawa, zgłoszona jak najpoważniej przez delegację Niemiec zachodnich: politykowanie, to też jedna z form spędzania wolnego czasu. Coś w rodzaju majsterkowania. Czym więcej czasu — tym więcej zabawy w politykę. To niepotrzebne, a nawet niebezpieczne. Lepiej produkujmy, produkujmy, produkujmy...

Jasne, że wszystkie te wypowiedzi padały z ust przedstawicieli krajów kapitalistycznych. Tych, którzy muszą twierdzić, że: „czas wolny musi być opłacony, a więc trzeba nań zarobić, wydatki przedsiębiorstwa muszą być utrzymane w granicach ekonomicznego rozsądku, inaczej wszyscy na tym ucierpią, RENTOWNOŚĆ i KONKURENCYJNOŚĆ ZAKŁADU — TO WARTOŚCI NADRZĘDNE I DLA KIEROWNICTWA I DLA ZAŁOGI". U nas konkurencyjność zakładu nie stanowi kryterium nadrzędnego w stosunku do ludzkiego, społecznego tak samo jak indywidualnego, interesu każdego z nas. Na sprawę skracania czasu pracy patrzymy z innej strony, też — oczywiście — nie wolnej od komplikacji. Dla przykładu: jak pogodzić ruch ciągły z wolną sobotą? Nijak. Chyba tylko tak, że pracownik miałby co pięć dni — dwa wolne od pracy, ale byłyby to różne dni tygodnia. Wtedy znów w rodzinie, w której pracują oboje rodzice lub jeszcze ktoś trzeci — każdemu z nich mogłoby kiedy indziej wypaść święto. Klops z rodzinnym spędzaniem weekendów...

Wszyscy specjaliści, niezależnie od tego skąd przybyli do Semmeringu, zdawali się uznawać konieczność jakiegoś planowania, programowania, organizowania czasu wolnego. Więc oczywiście szkolenie. Ciągłe douczanie się, nieuniknione przy galopującym postępie technicznym. Więc poza tym masowe rozrywki? Z tym gorzej. Na przeankietowane pytanie: jak spędziłbyś sobotę wolną od pracy? większość austriackich robotników odpowiedziała: a co to was obchodzi?

Ludzie tęsknią do odrobiny czasu, którego nikt im nie będzie ustawiał, liczył, kontrolował. Czasu, wyjętego z rygorów, jakimi obstawiła nas „era przemysłowa". Dlatego z niejakim sprzeciwem czytamy w sprawozdaniu Żygulskiego: „Jako naiwne lub mistyfikacyjne określono tezy o nastaniu czy zbliżaniu się rzekomej ery „cywilizacji wczasów" czy pojawienia się społeczeństw „postindustrialnych". Ta era nie nastała.

Być może, że nastanie nieprędko. Mimo wszystko chyba jednak się zbliża, nie oddala; przecież nie będziemy rozkręcać produkcji w nieskończoność i pomyślimy wreszcie o godziwym, ludzkim ustawieniu proporcji pomiędzy pracą a zasłużonym odpoczynkiem.

ĆWIEK

Redaguje zespół: Halina Bekowa (redaktor techniczny), Wacław Biliński (redaktor naczelny), Konrad Frejdlich, Jan Koprowski (kierownik działu kulturalnego), Andrzej Makowiecki, Ewa Siemińska, Włodzimierz Stokowski (z-ca redaktora naczelnego i sekretarz redakcji), Teresa Wojciechowska. Łódzkie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa" w Łodzi. Adres redakcji: Łódź, ul. Piotrkowska 96. Tel. 244-79. Warunki prenumeraty: miesięcznie 4 zł; kwartalnie 12 zł. Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca. Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPiK „Ruch" — z zaznaczeniem na „Odgłosy". Druk. Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa" — Łódź, Żwirki 17. Zam. 191. I. 1968 r. P-10.